

NIE TRACIĆ CZASU

minister Henryk Bednarski odpowiada na nasze pytania (str. 4)

TYGODNIK
SPOŁECZNO-OŚWIATOWY

ROK LXX ● NR 51-52 ● 20-27 XII 1987 r.

CENA 30 zł



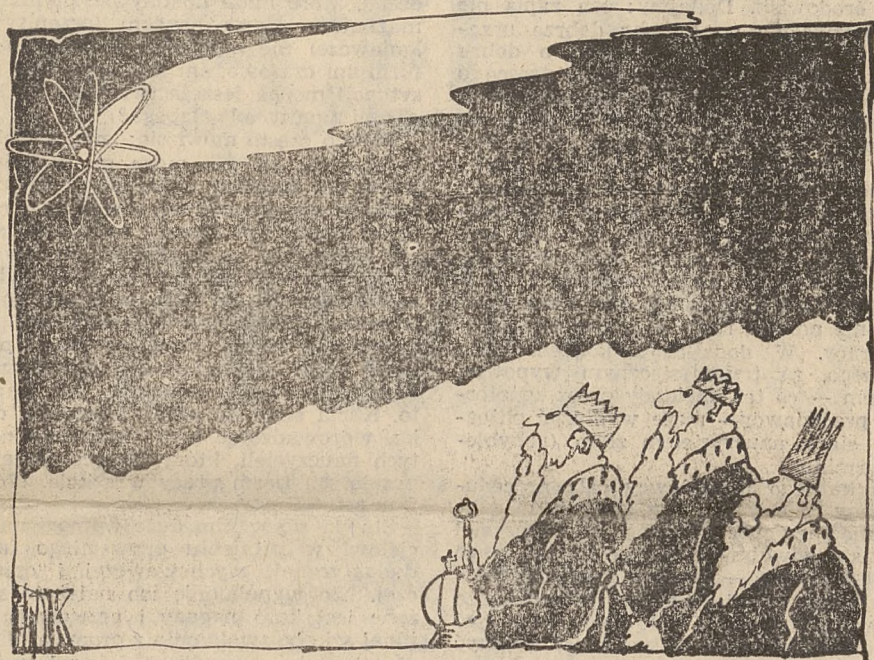
GŁOS

NAUCZYCIELSKI

Pogodnego nastroju,
pięknej choinki,
udanych makowców
i śnieżnych spacerów
– świątecznie życzy
Redakcja

INDEKS-35923

PL ISSN-0017-1263



MARIA RYBARCZYK

SZKOŁĘ SWĄ WIDZĘ OGROMNĄ...

Mijający rok, jak poprzednie, okazał się dla oświaty chudy. Ale czy kiedykolwiek przedtem mieliśmy w szkolnictwie lata tłuste? Zawsze było tak, że potrzeby przerażały możliwości. Napływająca mniej więcej co 10 lat potężna fala wyżu demograficznego niweczyła co ambitniejsze plany wychodzenia na prostą.

W całym minionym 42-leciu ściągały oświatę w dół w zasadzie dwa ciężarki: braki kadrowe i inwestycyjne. I tylko raz, w 1978 roku, zdarzyło się, że wreszcie można było odetchnąć. Wówczas to po raz pierwszy (i ostatni, jak dotychczas) — mieliśmy więcej kandydatów z tytułem magistra do pracy w szkole, niż było wolnych miejsc pracy. Ale radość okazała się przedwczesna. Już po roku wszystko wróciło do normy. A z początkiem lat osiemdziesiątych — zaczęliśmy się cofać! Dziś nie cofamy się już tak szybko — maleje liczba osób bez kwalifikacji wchodzących do zawodu, a ponadto nie najgorzej „owocuja” uruchomione niedawno (z konieczności) studia nauczycielskie. W dalszym ciągu jednak mało to pocieszający fakt. Poziom kwalifikacji kadry nauczającej miast wzrastać — stopniowo maleje i to w rubryce „pełne wyższe wykształcenie”.

Gorzej jest z tym w środowiskach wiejskich niż w mieście — i tak było zawsze. Teraz jednak te różnice mogą się powiększać. Przyczyna: niedostatek mieszkań

slużbowych, zwłaszcza na wsi. Jeszcze nie tak dawno braki szacowano na dwadzieścia kilka tysięcy, dziś mamy już powyżej 55 tys. nauczycieli bez mieszkań. Potrzeby ciągle rosną, co w pewnym tylko stopniu wiąże się z wcześniejszymi odejściami na emeryturę.

Słabe tempo budownictwa odbija się też na jakości pracy szkoły. Budownictwo oświatowe kulało zawsze; bywało, że zapomniano o nim przy wznoszeniu wielkich osiedli (przykładem warszawski Ursynów). I nie dziwnego skoro całą energię pochłaniało budowanie drugiej Polski!

W rezultacie w lata osiemdziesiąte, oświata wkroczyła z wielkimi ambicjami, ale całkiem skromnymi możliwościami. I jak na ironię — borykającą się z wieloma trudnościami dnia codziennego szkołę załapała silna fala wyżu demograficznego. Kroczy przez różne typy szkół do dziś. Nadzieja wychodzenia na prostą znowu się oddaliła — kto wie, do kiedy? O oświacie można dziś powiedzieć: pacjent cierpi na poważne schorzenia, a leczenie się przedłuża.

Rok, który mija, uświadomił to z całą ostrością. I choć dziś budujemy więcej obiektów, niż w latach siedemdziesiątych

KRONIKA

(od poniedziałku

do niedzieli)

● SEKRETARIAT ZG

7 grudnia omawiano stan przygotowań do posiedzenia Zarządu Głównego ZNP, które odbędzie się 14 grudnia br. Porządek obrad przewiduje rozpatrzenie założeń związkowego projektu układu zbiorowego pracy dla pracowników szkół nie będących nauczycielami oraz projektu planu pracy i budżetu Zarządu Głównego ZNP na rok 1988.

● O KULTURZE FIZYCZNEJ I TURYSTYCE

Na posiedzeniu (7 grudnia) Prezydium Krajowej Rady Kultury Fizycznej i Turystyki ZG ZNP dokonało analizy stanu realizacji zadań w roku 1987 oraz przyjęło plan pracy na rok następny.

● SPOTKANIE POSELSKIE

W gminach Żelazkowo i Koźminek (woj. kaliskie) 8 grudnia odbyły się spotkania środowiska nauczycielskiego z Kazimierzem Piłatem, posłem z okręgu kaliskiego oraz prezesem Zarządu Głównego ZNP.

● W TROSCE O BHP

Od 7 do 12 grudnia w Jachrance koło Warszawy odbył się kurs dla dyrektorów domów wczasowych, sanatoriów, filii OUPiS oraz innych agend ZNP w zakresie bhp i ochrony przeciwpożarowej.

Organizatorem był Zarząd Główny ZNP wspólnie z Centrum Studiów Związków Zawodowych oraz OUPiS w Warszawie.

● Z PRAC SEKCJI ZAWODOWYCH

Przez trzy dni (9—11 grudnia) w siedzibie ZG ZNP pracowały: Zespół kształcenia i doskonalenia nauczycieli, który sporządził wstępny projekt opinii ZNP w sprawie kształcenia, doskonalenia i doskonalenia nauczycieli oraz Zespół ds. treści kształcenia, który rozpatrzył wnioski dotyczące doskonalenia programów nauczania w szkołach ponadpodstawowych.

Należy dodać że przedstawiciele ZNP pracują również nad tymi zagadnieniami w Instytucie Programów Szkolnych.

● Z WIZYTĄ W WARSZAWIE

Liczna grupa aktywistów oświatowych i ZNP z Domasłowa (woj. kaliskie) gościła 11 grudnia w siedzibie Zarządu Głównego ZNP. W czasie spotkania z prezesem Zarządu Głównego, Kazimierzem Piłatem, poruszono m. in. sprawy dotyczące aktualnych prac kierownictwa Związku oraz perspektyw poprawy dzisiejszego stanu oświaty.

● WSPÓLNE SZKOLENIE

W ośrodku ZNP w Zakopanem odbyło się w dniach 10—13 grudnia szkolenie aktywistów ZNP z pięciu okręgów (Kraków, Nowy Sącz, Opole, Przemyśl, Tarnów). Szkolenie zorganizował Zarząd Okręgu ZNP w Krakowie, a z uczestnikami spotkał się wiceprezes ZG ZNP, Michał Langowski.

● OKRĘG PRZED PÓLMETKIEM

12 grudnia w sali Zjazdowej ZNP w Warszawie odbyła się warszawska konferencja delegatów ZNP. Dokonano podsumowania ponad rocznej działalności obecnej kadencji. Pozwoli to wzbogacić program działania całej okręgowej organizacji ZNP o nowe, istotne elementy, wynikające z ogólnych przemian w życiu kraju.

W obradach uczestniczył prezes Zarządu Głównego ZNP, Kazimierz Piłat, oraz wiceminister edukacji narodowej — Maria Berzyńska.

NA gwiazdkę otrzymaliśmy czek na podarek, który — zrealizowany — prze-róby najmielsze marzenia. Główne wygrane we wszystkich możliwych grach i loteriach świata — od rozbicia banku w Monte Carlo, po trafienie szóstki w Toto-Lotku — to przy nim przysłówiowa „mała betka”. Piszcie oczywiście o waszyngtońskim układzie Gorbaczow—Reagan.

A nazywam go czekiem, bo losy porozumienia zależą jeszcze od jego ratyfikacji, co — wspomniawszy choćby SALT II — sprawia, że nie są to obawy nieuzasadnione. Spotkanie radzieckiego szefa z przywódcami Kongresu USA — liczymy na to — ułatwi przejście tego Rubikonu, ale nawet 90 proc. Amerykanów będących za ratyfikacją (wynika to z sondaży), wcale nie musi przesądzić o stanowisku elity władzy. Czekiem jest on dla mnie także dlatego, że jego skutki tylko wówczas będą dla świata nie do przecenienia, jeśli porozumienie stanie się tym oczekiwanym, wykładanym i przywoływanym pierwszym krokiem na drodze do likwidacji wszelkich broń jądrowych oraz powszechnego rozbioru. Taki rozwój sytuacji zakładają, wnosząc deklarację, obaj przywódcy, planując od razu — w odróżnieniu do szczytu w Reykjaviku — letnie spotkanie w Moskwie i zarysowując plany program. Trudno jednak pominąć przykry zgrzyt, jaki stanowiło publiczne podtrzymanie przez Reagana planów dotyczących „wojen gwiazdowych”. Oby to nie był zły omen, który przekreśli nadzieje świata...

Obaj konstruktorzy porozumienia, tuż po jego podpisaniu, mówili z wyjątkową zgodnością o historycznej randze tego zdarzenia. Komentatorzy na całym świecie, czy są za, czy przeciw — bo tacy, co są prze-

POLEMIKI

KOMU SZKODZI KARTA?

Nie raz i nie dwa padały propozycje zmiany Karty Nauczyciela w trosce o ... kondycję polskiej oświaty. No cóż, idea szczytna, sztańdar z hasłem zatknięty wysoko, tylko z uzasadnieniem bywały zawsze kłopoty. Pomysłów było już kilka, które wzniesły się i gasły, przytłumione mocnymi argumentami.

Karta nie jest ustawą idealną i jeżeli gdzieś uzasadniona potrzeba, może być nowelizowana choćby z tego powodu, że to przecież przepisy w ciągłej zadyszce podążają za życiem, a nie odwrotnie. Tyle, że między uzasadnioną potrzebą, a domaganiem się jej zmiany przy każdej okazji — jest ogromna różnica!

Ostatnio lansowany jest pogląd, że Karta chroni „złego nauczyciela”, przeto należałoby zmienić niektóre jej zapisy. Zarzut to ciężki.

Niepokoi fakt, że ta krytyka ustawy odbywa się, na przykład, przed kamerami telewizyjnymi i tysiące ludzi w Polsce — którzy Karty nie znają i nigdy jej prawdziwego znaczenia nie będą — wyrabia sobie natchniony pogląd, że skoro Karta chroni złego pracownika, jest w ogóle ustawą chybną.

Słysząc o tych propozycjach zastanawiam się, czy autorzy kolejnych „pomysłów” zmian wiedzą aby na pewno, czym jest Karta Nauczyciela i dlaczego jej zapisy winny być trwałe?

Karta gwarantuje jednakowe prawa wszystkim nauczycielom, a przepisy sytuujące szczególnie zawód nauczycielski: mianowanie, formy nawiązania, zmiany i rozwiązania stosunku pracy — dają poczucie bezpieczeństwa i stabilizacji, umożli-

ŚWIAT

NA DOBRY POCZĄTEK

ciw czy choćby odnoszą się z rezerwą też są w jakże skomplikowanym systemie układów, sojuszy, rachub i poglądów, funkcjonujących w naszym podzielonym świecie — również nie odmawiają mu tego miana. Pamiętać trzeba, że perspektywa z jakiej patrzymy na świat często zewodzi przy ferowaniu ocen dotyczących współczesności. W tym wypadku jednak historia ją chyba potwierdzi, jeśli tylko dalszy rozwój sytuacji pokryje się z nadziejami i rachubami większości.

Nadzieje te są szczególnie silne na naszym kawałku kuli ziemskiej, w Europie. Objęte planem niszczenia rakiety bliskiego i średniego zasięgu (500—5000 km), były konstruowane i produkowane głównie z myślą o konflikcie na naszym kontynencie, nazwano je nawet euroraketami. Czy można więc dziwić się, że przeznaczenie ich na złom tak radośnie zostało przez nas przyjęte? Teraz na plan pierwszy w rokowaniach średnich państw wysunął się zbrojenia konwencjonalne. Berlińskie spotkanie szefów państw socjalistycznych z udziałem Gorbaczowa i ministrów NATO, których w Brukseli z przebiegiem wa-

wiają spokojne wykonywanie tego zawodu pozostającego pod ciągłą presją różnych środowisk. Dodajmy: ten zapis nie jest wymyślony po to, aby dobrze urządzić nauczyciela, lecz z myślą o dobru dziecka, szkoły. Ale również w trosce o dziecko padają zarzuty, że nie sposób zwolnić nauczyciela słabego jeżeli się okaże, że jest mianowany. Po tym uściśla się, że wszem, można, ale trwa to zbyt długo, gdyż...

A jak jest naprawdę? Art. 23 zezwala na rozwiązanie stosunku pracy z nauczycielem mianowanym, jeżeli ten nie wywiązuje się z obowiązków służbowych, po otrzymaniu przez niego dwukrotnie — w odstępie nie krótszym niż rok, a nie dłuższym niż półtora roku — negatywnej oceny pracy. W dodatku z końcem roku szkolnego, za trzymiesięcznym wypowiedzeniem — co też, niekiedy przez „gapiosów” pracodawcy — może wydłużyć pożegnanie się z nauczycielem złym (uchybie nie terminu).

Dla każdego pracodawcy cała procedura oceny nauczyciela jest szalenie uciążliwa i męcząca choćby dlatego, że nauczyciel może się odwoływać od niesusznej, jego zdaniem, oceny — zgodnie z art. 24 Karty. O wiele prościej byłoby stwierdzić, że nauczyciel (mianowany!) okazał się być złym nauczycielem i natychmiast wręczyć mu wypowiedzenie lub zaproponować gentlemęską formę porozumienia stron i sprawę skończyć szybko!

Temu szybkiemu i sprawnemu obrotowi sprawy staje na drodze właśnie art. 23 Karty, który chroni nauczyciela mianowanego przed zbyt pochopnymi i arbitralnymi zapędami pracodawcy. Ale to nie znaczy, że chroni zło. Chodzi o to, aby nauczycielowi mianowanemu, który dzięki pozytywnej ocenie swej pracy uzyskał to mianowanie (a przez to korzysta ze szczególnej ochrony) udowodnić, ponad wszelką wątpliwość, że nie wywiązuje się ze swych obowiązków należycie. A na to trzeba czasu.

Trudno więc pojąć, dlaczego — właśnie w kontekście art. 23 padają głosy podejmujące nie ochronę dobrego nauczyciela, ale właśnie złego. Oczywiście, można domniemywać, że nauczyciel mierny może skorzysta z tego, że jego dyrektor „nie zechce” się z nim rozstać, bo nie będzie miał czasu i cierpliwości, aby dokonać oceny jego pracy. Ale to już zupełnie inna sprawa.

waszyngtońskiego szczytu zapoznał George Schultz, daly temu wyraz, choć w nieco innym tonie. Waszyngtońskie rozmowy stanowią jednak krępujący przykład, że jeśli partnerzy są zdecydowani porozumieć się — do porozumienia dochodzi.

W rozładowywaniu europejskiego arsenału — dodam — mamy szansę odegrać niemałą rolę. Zgłoszony przez Polskę Plan Jaruzelskiego, zakładający ograniczenie, a potem likwidację własnej zbrojeni konwencjonalnych, stanowi niezwykle silny atut bloku naszych państw. Nie trzeba bowiem czekać, „studiować problemu”, jak się to w języku dyplomatycznym określa. Jest gotowy program, do rozpatrywania którego można przystąpić natychmiast. Czekaemy więc na polską dyplomatyczną ofensywność, którą dobrze zapowiedziała wizyta ministra Orzechowskiego w Wielkiej Brytanii i zaproszenie do Polski Margaret Thatcher.

Bo ludzie, żeby się zrozumieć i porozumieć, muszą się — po pierwsze — poznać. Jest to banalny truizm, którego uniwersalna prawdziwość zyskała kolejne potwierdzenie w ostatnich dniach. Wielu Amerykanów zafascynowało osobowość radzieckiego przywódcy — jego dynamizm, konsekwencja, a jednocześnie elastyczność. Ten rodzaj ludzi nie rezygnuje z działania, które uznają za swe powołanie. Z drugiej strony stary człowiek, którego publiczna kariera dobiega nieuchronnego kresu, a który chciałby zapisać się w pamięci potomnych... Miejmy nadzieję, że ta mieszanka da dobre rezultaty.

Oby Waszyngtoński szczyt zapowiadał początek procesu rozbrojeniowego, wyładowanego przez wszystkich ludzi dobrej woli na świecie... (MAK)

Dyrektor ma do dyspozycji wiele form dyscyplinujących nauczyciela: hospitalizację i ocenę, które może dokonywać niemal permanentnie. Karta bowiem (przepisy wykonawcze) nie ogranicza stosowania tych form ani czasowo, ani ilościowo. Czy w tej sytuacji można jeszcze twierdzić, że Karta chroni nauczyciela słabego?

Bardzo często mówi się: „nauczyciel stale choruje, ale nie mogą go zwolnić, bo Karta nie pozwala, „ogranicza”. Ciśnięcie się pytanie, czy pracodawca rozróżnia dwa pojęcia: nauczyciel chory i nauczyciel słaby, czy odwrotnie — utożsamia je. Bo jeśli chory, to trzeba dać mu szansę na wyleczenie, skierować na badania, przez komisję lekarską. Zwolnienie lekarskie czy urlop zdrowotny też ma określony czas i przedłużać go w nieskończoność nie można. A więc szansa zwolnienia jest. Ale nie tylko to. Karta staje na straży interesów dziecka, wprowadzając kary dyscyplinarne dla tych nauczycieli, którzy rażąco odstają od przyjętych norm pracy w szkole. Mówi o tym art. 6 Karty.

Stawia się w nim duże wymagania nauczycielowi w pełnieniu przez niego funkcji dydaktycznej, wychowawczej i opiekuńczej. Nie wypełnianie ich należyte zagrożone jest karą nagany i przeniesienia do innej szkoły, zwolnienia z pracy, a także — w rażących przypadkach — wydaleniem z zawodu.

Myszę, że argumentów obalających zarzut, iż Karta chroni złego nauczyciela, można by znaleźć i przytoczyć jeszcze więcej, ale przecież nie o ich ilość chodzi. Już też o których wspominałam mówią, jak „bardzo nauczyciel jest dyscyplinowany w swej pracy właśnie zapisami Karty. Chroni ona zarówno nauczyciela, nie pozwalając np. zwolnić go z dnia na dzień, ale też chroni interesy dzieci i młodzieży, stawiając ostre wymagania pracownikom pedagogom. Ich bagatelizowanie, ignorowanie jest zgodnie z Kartą surowo karane.

Szkoda tylko, że ci wszyscy, którzy są zaskoczeni małą liczbą zwalnianych i karanych nauczycieli nie widzą, że ludzie wykonujący ten zawód są bardziej niż w innych zawodach zdyscyplinowani, mają wyższe poczucie obowiązku, w ocenie moralnej i etycznej — stają przed innymi zawodami. Co zostało udowodnione w badaniach nad różnymi zawodami prowadzonych w latach 80.

TERESA KONARSKA

HARCERSKIE SPECJALNOŚCI NA ZAKRĘCIE

Drużyny specjalnościowe, czyli zespoły zajmujące się wybraną dziedziną wiedzy, cieszą się wśród harcerzy dużą popularnością. Zrzeszają łącznościowców, żeglarzy, pletwonurków, grotołazów, amatorów jazdy konnej, wspinaczki wysokogórskiej i wielu innych hobbystów. Ich rozwój hamowany jest jednak przez różnego rodzaju trudności. Na ten temat dyskutowano podczas X Plenum Rady Naczelnej ZHP w listopadzie.

Abby kształtować zainteresowania harcerzy, potrzebna jest dobrze przygotowana do tej roli kadra instruktorska. Prowadzenie zajęć, dotyczących wąskiej dyscypliny, jak np. informatyka, wymaga bowiem umiejętności połączenia wiedzy merytorycznej z

metodyką harcerską. Okazuje się, że nie jest to umiejętność spotykana wśród drużynowych zbyt często. Centralne szkoły instruktorskie muszą położyć na to zagadnienie większy nacisk. Również błędne identyfikowanie form pracy (takich, jak turystyka, działalność kulturalna) ze specjalnością, doprowadza do paradoksu, iż jakas chorągiew deklaruje 100 proc. drużyn specjalnościowych. Ta mało wiarygodna statystyka spowodowana była brakiem jasnych kryteriów na podstawie których uznawano zespół za specjalnościowy.

Drugim, podstawowym warunkiem rozwoju tych drużyn są środki materialne i baza sprzętowa. Tymczasem organizacja stoi wobec konieczności ograniczenia swych wydatków w związku ze zmniejszeniem dotacji z budżetu państwa. Skąd brać środki na rozwój drużyn specjalnościowych?

Częściową odpowiedzią na to pytanie, dominujące w dyskusji, była propozycja takiego stymulowania harcerskich zainteresowań, by w myśl założeń II etapu reformy rozszerzyć działalność gospodarczą drużyn, przynoszącą dochody. Może to być wyplatanie i sprzedaż matrik lub inna inicjatywa, na którą jest społeczny popyt. Wy-

maga to zaznajomienia młodzieży z podstawami ekonomii, zwłaszcza z prawem handlowym.

Brak pieniędzy rzutuje na rodzaj i liczbę wydawnictw specjalistycznych. Wyniki ankiety na temat wychowania technicznego, przeprowadzonej w chorągwi Jeleniogórskiej, świadczą o ubogim stanie publikacji w dziedzinach, w których sprawni przepływ informacji jest konieczny. Unie-możliwia to instruktorom śledzenie nowości i zatrzymuje ich wiedzę na poziomie często nie przekraczającym amatorszczyzny. Zaproponowano w związku z tym, aby zamiast wymagać od drużynowego umiejętności fachowca, zwrócić się do specjalistów z prośbą o współpracę.

Do specjalności, których rozwój będzie w najbliższym czasie preferowany, Rada Naczelna zaliczyła: żeglarstwo, łączność, lotnictwo, sporty obronne, pożarnictwo, Młodzieżową Służbę Ruchu, dyscypliny naukowe. Instruktorzy położyli większy nacisk na edukację ekonomiczną, rozwój samorządności, preorientację zawodową. Upowszechnienie „zostania” zadania, związane ze zwalczaniem zagrożeń, jakie niesie współczesnemu człowiekowi cywilizacja.

MAGDALENA GROCHOWSKA

8 grudnia 1987 r. zmarł

prof. dr hab. STANISŁAW KRAWCEWICZ

Zasłużony Nauczyciel PRL,

były sekretarz Zarządu Głównego ZNP.

Rodzinie Zmarłego wyrazy współczucia składa
KIEROWNICTWO ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZNP
I KRAJOWEJ RADY NAUKI ZNP

ROZMOWY

Z

CZYTELNIKAMI



WIĘCEJ UŚMIECHU I ŻYCZLIWOŚCI

Tak więc sumujemy mijający rok. Jaki on był na łamach pisma? O co wraz z Czytelnikami walczyliśmy, jakie sprawy i problemy podnosiliśmy w publicystyce, reportażach, wywiadach, z kim i o co spieraliśmy się, dyskutowaliśmy, polemizowaliśmy? Co nas denerwowało, wywoływało niepokoję, wreszcie — co satysfakcjonowało, sprawiała radość?

Najostrzejsza chyba polemika rozgorzała po opublikowaniu w „Głosie” projektów resortowych zarządzeń w sprawie regulaminu rady pedagogicznej i statusu dyrektora szkoły, zasad podziału funduszu nagród, koncepcji motywacyjnego systemu plac oraz dodatków za pracę i osiągnięcia w zakresie postępu pedagogicznego. Ileż w tych kwestiach napłynęło listów od członków Związku i nauczycieli! W styczniu, lutym i marcu całe stronicy w piśmie były wypełnione opiniami, wypowiedziami, refleksjami, propozycjami zmian i uzupełnień. Jestem przekonany, że między innymi dzięki tej redakcyjnej wymianie poglądów, projekty tych zarządzeń zostały przeredagowane w sposób, który pozwoli im w warunkach ogólnej akceptacji wejść do praktyki.

Przykład to budujący. Tak powinno się postępować i w przyszłości. Szkoła, oświata, nauczyciele nie mogą bowiem być zaskakiwani zarządzeniami, zaleceniami, wytycznymi spadającymi, jak grom z jasnego nieba. Od takich praktyk trzeba odejść raz na zawsze. Stwarzają one bowiem zły klimat w zespołach pedagogicznych, zakłócają rytm pracy szkoły, co zawsze się odbija na wynikach nauczania. Nowy resort edukacji narodowej ten sposób rzetelnej konsultacji dokumentów i zarządzeń winien kontynuować...

I odwrotna strona medalu. Bardzo zbulwersował nas w redakcji, w Związku i środowisku nauczycielskim projekt poprawy sytuacji kadrowej, w oświacie, który zamierzano uwzględnić przez zwiększenie obowiązkowego, tygodniowego pensum dydaktycznego. Projekt ten — przygotowany w ciszy ministerialnych gabinetów — spadł jak grom z jasnego nieba i wywołał lawinę protestów, które publikowaliśmy. Na szczęście został szybko — zaniechany. Wnioski z tego incydentu — tak sądzę — wyciągnięto. Na dziś, jutro i na zawsze...

Gdy tak przeglądam numer za numerem, rzuca się w oczy publicystyka z cyklu: „Quo vadis, oświata?”. Cykl ten pojawił się w piśmie po opublikowaniu apelu Komitetu Ekspertów do spraw Edukacji Narodowej do nauczycieli. Przypomnę; chodziło o nadsyłanie pod adresem komitetu i redakcji opinii, uwag i propozycji dotyczących zarówno oceny obecnego stanu edukacji, jak i zasad, wariantów i kierunków jej przebudowy w bliższej i dalszej przyszłości.

Każdy tekst z tego cyklu jest godny refleksji: oczywiście, materiały z tego zakresu jeszcze długo zamierzamy publikować. Na-

mawiam więc gorąco Was — Czytelnicy, do zabierania głosu w kwestiach dla teraźniejszości i przyszłości oświaty najważniejszych.

Przewodniczący Komitetu Ekspertów — prof. dr hab. Czesław Kupisiewicz powiedział mi niedawno: — Nie chcemy i nie będziemy działać w próżni. Propozycje, które przedstawimy muszą być zaakceptowane przez społeczeństwo, przez nauczycieli. Bez tej akceptacji nie uda się bowiem — na co wskazuje praktyka — żadna edukacyjna reforma. Dlatego też nasz komitet tak bardzo liczy na współpracę ze środowiskiem nauczycielskim i naukowym. Każda propozycja, która jest do nas kierowana i każda publikacja prasowa traktująca o kierunkach zmian edukacyjnych jest analizowana. Komentarz do tego stanowiska jest zbędny. Więć w redakcji czekamy na kolejne teksty.

Wiele napisaliśmy, jak dotąd o Kodeksie Ucznia. Projekt pierwszej wersji nie zdobył — trzeba to powiedzieć — akceptacji większości respondentów. Druga wersja rozbudziła już mniejsze emocje, choć uwagi krytyczne wciąż napływają. Mało jest wypowiedzi negujących potrzebę wprowadzenia nowego kodeksu do praktyki życia szkoły. Dodam, że treści kodeksu muszą odpowiadać zarówno nauczycielom, jak i uczniom. W innym bowiem wypadku nie będzie on w praktyce realizowany.

Niektórzy Czytelnicy domagają się również publikacji ostatecznej wersji tego dokumentu. Jeśli ją otrzymamy — wydrukujemy. Dyskusji nigdy za mało i spieszyć się nie warto. Jeśli zostanie wprowadzony wraz z nowym rokiem szkolnym — będzie dobrze. Lepiej jeszcze trochę nad nim popracować i przygotować kodeks solidnie.

I tak mogłoby koncentrować Waszą uwagę — drodzy Czytelnicy — na kolejnych cyklach, akcjach, konkursach. Sporo ich było i będzie nadal.

A jeśli chodzi o poszczególne publikacje? Niektóre wywołały spory odzew Czytelników. Przykłady? Chociażby tekst Witolda Salańskiego pt. „Dwie strony medalu”. Chciałoby się w związku z tym napisać: o tych tekstach jak najczęściej!

Sporo piszemy o pracy instancji związkowych — ognisk, oddziałów i okręgów; drukujemy rozmowy i wywiady z działaczami — od prezesa Zarządu Głównego poczynając, a na prezisie ogniska kończąc.

Obecnie koncentrujemy uwagę przede wszystkim na działalności podstawowych instancji ZNP. Czynimy to zgodnie z programem organizacji. Czytamy w nim i taki zapis: „Wyrównywanie poziomu pracy ogniw ZNP, aktywizowanie ogniw słabych jest najważniejszym zadaniem w nowej kadencji. Dotyczy to zwłaszcza ognisk i grup związkowych — a więc ogniw działających bezpośrednio w placówkach oświatowo-wychowawczych. Tam działalność Związku powinna być najbardziej widoczna. Przez pryzmat pracy swojego og-

niska członkowie oceniają cały Związek. Każdy członek ZNP powinien odczuwać obecność Związku w swojej placówce, czuć się członkiem koleżeńskej wspólnoty, która stanowi oparcie, pospiesz z pomocą, nie dopuścić do osamotnienia. Jest to niemniej ważne zadanie niż egzekwowanie uprawnień”.

Ten fragment z uchwały XXXIV Zjazdu ZNP wzięliśmy sobie szczególnie do serca.

Kontynuujemy też cykl: „Rozmowy o Związku”. Ostatnio spotkaliśmy się z działaczami ZNP w okręgu poznańskim. Było ono nadzwyczaj ciekawe. Niemniej interesujące były nasze spotkania z Katowickim, Gdańskim, Białostockim i Lublińskim, Kozińskim. Oczywiście i w następnym roku przewidujemy kolejne wizyty w kolejnych okręgach. Wzruszają nas zawsze spotkania z seniorami. Toż oni są często naszymi przewodnikami po problemach pracy związkowej...

Mało było konkursów z dużymi nagrodami, trochę za mało spotkań w radach pedagogicznych. Te braki postaramy się nadrobić w roku przyszłym. Więcej też miejsca będziemy chcieli poświęcić problematyce naukowej, częściej rozmawiać z dyrektorami różnych instytucji, częściej pisać o problemach nurtujących nasze uczelnie wyższe.

Słowem, pragniemy tak przygotowywać każdy numer pisma, aby był on ciekawy zarówno dla nauczyciela jak i pracownika wyższej uczelni. Myślę, że nam w tym dziele pomożecie. Mam tu na myśli teksty, których autorami byłiby pracownicy instytucji naukowych i wyższych uczelni.

Co jeszcze warto przypomnieć? A no chociażby poinformować, iż wydaliśmy już 99 literackich wkładek. W styczniu 1988 roku ukaże się setny numer literackiego „Głosu Nauczycielskiego”. Ten jubileusz cieszyć nas będzie szczególnie. Dziękuję i redaktor, Henryce Witalewskiej i koleżdze Janowi Mołdźce za długoletnią pracę przy tworzeniu kolejnych numerów literackiego „Głosu”, za świetne pomysły i trafne oceny nadsyłanej twórczości. Ilu znanych dziś pisarzy i poetów debiutowało właśnie w naszym literackim „Głosie”!

Wydaliśmy też 86 numerów „Zeszytów Historycznych „Głosu Nauczycielskiego”. Toż to już kilka tomów, kilka tysięcy stron druku. Ostatnio rytmiczność ukazywania się Zeszytów osłabła. Po prostu, wyczerpaliśmy sporo z naszej współczesnej historii. W styczniu odbędzie się w redakcji spotkanie komitetu redakcyjnego Zeszytów Historycznych. Myślę, że warto jeszcze sięgnąć do nowych tematów i białych plam. Niektóre wciąż czekają na dogłębną, rzetelną analizę i publikację.

W tym miejscu — niestety — muszę przerwać swoje pisanie o treściach „Głosu” w mijającym roku. Po prostu, nie sposób napi-

sać o wszystkim. Muszę jednak stwierdzić i to, że nie wszędzie możemy dotrzeć... Nasz nakład jest ciągle za mały. W tej chwili wynosi tylko 60 tysięcy egzemplarzy tygodniowo. Z tego około 58 tysięcy rozchodzą się w stałej prenumeracie. Pozostałe 2 tysiące trafia do 35 tysięcy kiosków „Ruchu”!

Tymczasem organizacja związkowa wciąż rośnie. Obecnie mamy już ponad 550 tysięcy członków ZNP. „Głos Nauczycielski” jest pismem społeczno-oświatowym Związku Nauczycielstwa Polskiego. Tak więc organizacja rośnie — a „Głos” stoi w miejscu od kilku lat. Brak papieru! Jak długo tego papieru będzie brakować dla „Głosu”? Napisaliśmy w tej sprawie list do prezesa Zarządu Głównego ZNP — Kazimierza Piłata. Może jego interwencja będzie skuteczna!

„Głos” nie może być pismem wąskobranżowym. Problemy oświaty, szkoły, edukacji narodowej powinny stać się szeroko znane społeczeństwu. Odnosi się to również do tych wszystkich problemów, które dotyczą nauczycieli. Opinie nauczycielskie, opinie pracowników oświaty i nauki, które w „Głosie” zamieszczamy powinny — moim zdaniem — trafiać do szerokiego rzesz współobywateli, a nie tylko do osób związanych zawodowo z oświatą i wychowaniem.

★

I tego właśnie zwiększenie nakładu, a i objętości pisma — życzę sobie, zespołowi redakcyjnemu i Czytelnikom w przyszłym, 1988 roku...

Wam, drodzy Czytelnicy, życzę wszystkiego najlepszego. Niech zbliżające się święta upłyną każdemu w szczęściu i radości, a w Sylwestra nich za każdym stołem strzeli butelka szampana!

I zaraz refleksja: toż to życzenia nierealne, nie przystające do rzeczywistości. Przecież szampana na każdy polski stół nie wystarczy — nie dowiozą aż tyle — a i o zmartwieniach, niepokojach, troskach i reformie nie sposób zapomnieć nawet w najbardziej radosnych momentach.

Więc co, zrezygnować z życzeń? Po prostu, niech każdy z nas raduje się w te święta i Sylwestra jak potrafi. Niech będzie szczęśliwy na swój sposób. Więć proszę tylko o więcej uśmiechu i życzliwości w tym nowym 1988 roku.

ZBIGNIEW PAWŁOWSKI
Fot. CAF

P.S. Doszły mnie słuchy, że niektórzy inspektorzy oświaty i wychowania — realizując na swoim terenie zasady drugiego etapu reformy — postanowili zaoszczędzić na... „Głosie Nauczycielskim”. Szkołom wolno zaprenumerować tylko po 1 egzemplarz!

Natomiast pan inspektor oświaty i wychowania w gminie Gardeja (woj. elbląskie) zdecydował, iż „Głos” mogą zaprenumerować tylko i wyłącznie szkoły wyżej zorganizowane! Szkołom z klasami 1-4 „Głos” nie przysługuje!

Gratulujemy pomysłu inspektorze! Jak oszczędzać to oszczędzać! Mógłby pan jeszcze zaoszczędzić likwidując na przykład bibliotekę szkolną, kółka zainteresowań, świetlice, sale gimnastyczne, boiska itp. Koszty ich utrzymania wielokrotnie przecięż przewyższają koszt prenumeraty „Głosu”!

(ZP)



NIE TRACIĆ CZASU

— Na początek pytanie całkiem zwykłe — jak Pan przyjął wiadomość o powołaniu na stanowisko ministra edukacji narodowej?

— Nie spodziewałem się tej propozycji, ale zarazem odebrałem ją jako wyraz zaufania do mnie jako człowieka blisko związanego z oświatą i szkolnictwem wyższym. Naturalną kolejną rzeczą zrodziła się przy tym refleksja na temat odpowiedzialności i obowiązku. Dziś mogę powiedzieć jedno: jesteśmy już w wirze działania starając się zarazem połączyć myślenie o przyszłości z podejmowaniem spraw, które niesie dzień dzisiejszy.

— Z jakimi ludźmi Pan zamierza współpracować w nowym resorcie? Kto odeszł, kto przyszedł, kto jeszcze przyjdzie?

— Z tymi wszystkimi, którzy pragną skutecznie rozwiązywać problemy narodowej edukacji. Nie chciałbym ograniczać się przy tym do kręgu osób profesjonalnie związanych z oświatą. Chodzi mi o tworzenie szerokiego frontu społecznego działania, w którym jest miejsce dla rodziny, organizacji i towarzystw, szkół i uczelni, a także wielu innych instytucji. Chciałbym również utrzymać bliskie ale zarazem rzeczowe kontakty ze Związkiem Nauczycielstwa Polskiego, którego byłem działaczem. Była pan również o skład kierownictwa resortu. Szczegóły o personaliach członków kierownictwa podała już prasa. Ja chciałbym dodać jedno: że wszyscy oni znają problemy oświaty i szkolnictwa wyższego, mają bogate doświadczenie w tej dziedzinie.

— Na spotkaniu z kierownictwem Zarządu Głównego ZNP mówił Pan Minister, że w nowym resorcie nie może być podziału na my z oświaty oraz my z nauki i szkolnictwa wyższego. Proszę o dodatkowy komentarz na ten właśnie temat.

— Utworzenie Ministerstwa Edukacji Narodowej stanowi potwierdzenie oraz powszechniej wypowiedzianego przekonania, że istnieje potrzeba uformowania spójnego programu, a zarazem drożnego na wszystkich szczeblach systemu edukacyjnego. Mogą to zrobić ludzie ożywni jedyną ideą, dążący do tego samego celu. Okoptywanie się na dotychczasowych pozycjach stanowiłoby tu zasadniczą przeszkodę. To jedno uwarunkowanie integracji. Jest jeszcze inne, które wie czy nie ważniejsze bo w sposób naturalny stymulujące procesy integracyjne.

Cele edukacji na wszystkich poziomach kształcenia i wychowania tożsame i wyrażają się jednym, głównym zadaniem polegającym na przygotowaniu młodego pokolenia do wypełniania funkcji obywatelskich, zawodowych i rodzinnych w konkretnych warunkach ustroju. Każdy problem, każde zadanie widzimy musimy w układzie pionowym. Od momentu inicjacji aż do momentu wyjścia pracujemy nad tym samym zagadnieniem przy zmieniających się w miarę osiągania kolejnych szczebli uwarunkowaniach. Zawsze jednak będzie to ten sam ciąg działań ukierunkowanych na konkretny cel. Jeśli np. chcemy wyławiać talenty, otaczać szczególną troską dzieci i młodzież uzdolnioną, to tutaj wszelkie podziały na „my” i „my” są wbrew zdrowemu rozsądkowi. Takie spojrzenie występuje będzie we wszystkich Rozdziałach zadań i wspólne ich wykonywanie przynosi nieuchronnie takie własne rozstrzygnięcie.

— Problemów jest jednak bardzo wiele, w dodatku trudnych. Które będą przez Pana Ministra i nowy resort rozwiązywane w pierwszej kolejności?

— Programując działania resortu edukacji narodowej uwzględniamy fakt, że powołany został Komitet Ekspertów, który w stosownym czasie przedłoży koncepcję zmian w systemie edukacyjnym. Dlatego w pierwszym etapie przewidujemy kontynuowanie dotychczasowych prac obydwu resortów z uwzględnieniem wszelkich niezbędnych korekt podpowiadanych przez życie.

Podstawowe kierunki prac resortu edukacji narodowej zostały nakreślone w uchwałach i materiałach XXIV Plenum KC oraz X Zjazdu PZPR. Stanowią one zasadniczy punkt odniesienia dla podejmowania wielostronnych prac programowych i organizacyjnych, ukierunkowanych na rozpoczętych już przedsięwzięciach, wprowa-

dzenie nowych rozwiązań i przekształceń w wytyczonych uchwałami Partii dziedzinach funkcjonowania systemu edukacji narodowej.

Istota reform w naszym kraju wymaga równoległe aktywnego włączenia się w jej wdrażanie całego systemu edukacyjnego. W pierwszym rzędzie dotyczy to treści nauczania. Na wszystkich poziomach kształcenia młodzież musi być wyposażona w wiedzę i umiejętności, które pozwolą jej na wypełnianie ról zawodowych i społecznych w zreformowanej gospodarce, społeczeństwie i państwie. Jednocześnie szkoły wyższe powinny aktywnie prowadzić badania naukowe, mechanizmy reformy, ich skutki, znanie i tym samym współuczestniczyć w procesie programowania i realizowania reform. Realizacja tych funkcji następować będzie w ścisłym współdziałaniu z całym środowiskiem oświatowym i akademickim. Ministerstwo będzie przeprowadzało szerokie konsultacje podstawowych decyzji — zarówno ze środowiskiem nauczycielskim, jak i społeczeństwem. Wiele z nich dotyczy bowiem będzie całego społeczeństwa i bez wysłuchania jego opinii (np. na temat zasad promowania i rekrutowania młodzieży na kolejnym poziomie edukacji) nie jest możliwe przyjęcie odpowiednich rozwiązań.

Uspiechnienie procesu podejmowania decyzji w sferze edukacji oznacza także bardzo ściśle współdziałanie ze Związkiem Nauczycielstwa Polskiego oraz Radą Główną Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Konstruktivna współpraca z nimi prowadzić powinna do umocnienia prestiżu społecznego nauczyciela i nauczyciela akademickiego, przez co rozumieć należy zarówno systematyczne podnoszenie poziomu wiedzy i kwalifikacji pedagogicznych, zwiększenie odpowiedzialności zawodowej, wysoki wymagan etycznych jak i wysoka pozycja materialna.

Uspiechnienie dotyczy musi nie tylko procesu kierowania ale i funkcjonowania systemu edukacji. Rozbudowywane będą zatem społeczne funkcje — szczególnie szkolnictwa. Pozytywne doświadczenia z pracy rad społecznych szkół wyższych, komitetów rodzicielskich i zakładów opiekuńczych wskazywać na potrzebie rozbudowywania sieci szkół ze środowiskiem społecznym, w którym działają.

Za kolejne podstawowe zadanie ministerstwa uważa należy przygotowanie warunków oraz wprowadzenie w życie reformy systemu edukacji narodowej, której zadaniem przygotowuje Komitet Ekspertów. W ścisłym z nim współdziałaniu już na obecnym etapie należy przygotowywać się do projektowanych zmian.

Do szczególnie ważnych i pilnych spraw należy doskonalenie modelu i podniesienie skuteczności zarządzania w systemie edukacyjnym. Jest to problem o kapitalnym znaczeniu przede wszystkim dla funkcjonowania szkolnictwa powszechnego. Przepisy ustawy o systemie rad narodowych i samorządów terytorialnego przyniosły poważne przekształcenia w tej dziedzinie. Podjęte w latach 1985—1986 w kilku województwach eksperymenty, zmierzające do jego usprawnienia przez tzw. rejonizację nadzoru pedagogicznego, wskazują na konieczność i możliwość wykorzystania przepisów ustawy o systemie rad narodowych do wprowadzenia niezbędnych przekształceń.

Doskonalenie systemu zarządzania oznacza także zmiany w pracy samego ministerstwa. Będzie ono skupiać swoje działania na programowaniu, inspirowaniu i kontrolowaniu funkcjonowania systemu edukacji.

— Wiem, iż odbył Pan spotkanie z członkami Komitetu Ekspertów do Spraw Edukacji Narodowej. Czy moglibyśmy się dowiedzieć, o jakich kwestiach mówiono na tym spotkaniu?

— Spotkanie miało interesujący, rzeczowy przebieg. Ustalliliśmy zasady wzajemnej współpracy. Przyjaliśmy pewne generalne, do których należy między innymi ustalenie bliskich i dalszych celów podejmowanych prac. W całej rożnorodności podzieliłem poglądy, że obok potrzeby sporządzenia wariantowych propozycji przebudowy szkolnictwa oraz opracowania perspektywicznego modelu edukacji, potrzebne jest podjęcie działań zmierzających do usprawnienia obecnego modelu.

Sprawy te precyzowane są zresztą w stanowisku Komitetu Ekspertów do Spraw Edukacji Narodowej „O potrzebie dorastających zmian w szkolnictwie”. Proponowane działania zmierzają do unowocześnienia pracy szkół i placówek oświatowo-wychowawczych, uczynienia ich bardziej otwartymi na problemy społeczeństwa.

Reorganizacja centrum spowodowała, iż Ministerstwo Edukacji Narodowej straciło wiele ze swych dotychczasowych wpływów władzy, a wśród nich możliwość



bezpośredniego kierowania niższymi ogniwami administracji oświatowej. Jak w tej sytuacji będzie się przejawiać wpływ resortu na dalszy rozwój oświaty i szkolnictwa?

— Istota reformy centrum nie polega na sumarycznym łączeniu ministerstw czy też redukcji aparatu urzędniczego. Są to tylko zewnętrzne wyznaczniki zmiany funkcji instytucji centralnych. Dyskutując o tym problemie używamy takich kategorii pojęciowych jak samorządność, demokratyzacja, wzrost kompetencji lokalnych organów władzy, inicjatywność, odpowiedzialność i innowacyjność. Jeśli za punkty wyjścia przyjmijmy głęboką treść tych pojęć, a nie tylko ich wymiar propagandowy to stanie się oczywiste, że znajdują one swoje zastosowanie w całym systemie edukacji narodowej.

Różnica między teraźniejszością a tym, co czeka nas w bliższej i dalszej perspektywie, polega na zastąpieniu bezpośredniego zarządzania czy administrowania przez stymulowanie. W tym pierwszym przypadku zawsze występuje czynnik autorytarny, w tym drugim chodzi o wyzwalanie procesów naturalnych, o tworzenie w skali globalnej warunków prawnych, organizacyjnych i materialnych, w których jednostki i zespoły pracownicz działają będą na własny rachunek ale i zarazem w sposób społecznie najbardziej pożądaty. Ślad wzrost znaczenia funkcji analitycznych, programujących, planistycznych nacelowanych na niwelowanie progów i barier na kanalizowanie ludzkiej inicjatywy, zaradności, pomysłowości, na motywowanie i wyzwalamie postaw najbardziej pożądatych, ujawniających się w tworczym rozwiązywaniu zadań codziennych nawet tych najprostszych i najzwyczajniejszych.

Mam świadomość, że do urzeczywistnienia tych ambitywnych celów, do wypracowania takiego modelu sprawowania władzy prowadzi droga daleka. Dużo na niej uprzedzeń, nieufności, starczy nam wyków, przewidywać niechęć i obojętność. Kluczem do powodzenia jest wzajemne zaufanie a to myślenie, że przyjdzie z czasem.

Nie przywiązywałbym nadmiernej wagi do możliwości bezpośredniego kierowania terenowymi ogniwami administracji państwowej sprawującymi nadzór nad oświatą. Poprzez tworzenie odpowiednich rozwiązań możemy i tak wpływać na charakter ich pracy. Ale przecież one są najbliższe szkół i my ich nie zastąpimy w podejmowaniu operacyjnych decyzji. One ponadto już od lat odpowiadają za sferę materialną oświaty i robią to chyba lepiej, niż miało to miejsce w przypadku centralnego sterowania. W kompetencji ministra pozostają programy, podręczniki i określanie warunków organizacyjnych pracy szkół. I to jest wystarczający zespół środków, by wpływać na przebieg procesu dydaktyczno-wychowawczego.

Sprawa otwarta pozostaje nadal sprawowanie nadzoru pedagogicznego. Doświadczenie ostatnich lat dowodzi, że na szczeblu podstawowym pozostawia on wiele do życzenia. Ponieważ ma to wpływ bezpośrednio na poziom pracy szkół, musimy wprowadzić tu pewne korekty.

— W swoim stanowisku z 26 października 1987 roku Zarząd Główny ZNP stwierdza między innymi: „Domagamy się wzrostu nakładów na oświatę w dochodzie narodowym podzielonym do co najmniej 7 proc. w 1988 roku, a także przeznaczania przez rady narodowe większych niż do-

tychczas kwót na szkolnictwo z budżetu i nadwyżek budżetowych”. Czy Pan Minister jest tego samego zdania?

— Poziom nakładów nie tylko na oświatę, ale na funkcjonowanie całego systemu edukacji narodowej stanowi wypadkową dwóch czynników: skali potrzeb i realnych możliwości państwa. Swoje obowiązki w tym względzie pojmuję jako dążenie do maksymalnego wykorzystania istniejących możliwości, nie zaprzeczania żadnej szansy na pomnożenie nakładów. Ślad m. in. deklaruje chęć ścisłego współdziałania ze wszystkimi sojusznikami oświaty. Ich związki ze szkołą mają bardzo wymierną wartość materialną. Bez Narodowego Czynu Pomocy Szkole, bez zakładów pracy, przedsiębiorstw i wielu organizacji społecznych znacznie uboższa byłaby oświata.

Nie mogę natomiast obiecać, że w przyszłym roku przeznaczmy na oświatę a budżetu państwa „co najmniej 7 proc. do poziomu narodowego podzielnego”. Ten poziom nakładów, zgodnie z oceną realnych możliwości zawartą m. in. w dokumentach XXIV Plenum i X Zjazdu Partii, przewidujemy osiągnąć nie wcześniej, niż w latach 1991—95. Nie ograniczy to naszych starań, by nastąpiło to wcześniej. Ale każda korekta w górę, każde przyspieszenie zależy nie tylko od naszych intencji iez przede wszystkim od tempa przemian w gospodarce kraju i związanym z tym wzrostem zasobności państwowej kasy.

— Czy jest Pan Minister zwolennikiem Karty Nauczyciela? Czy sądzi Pan, że takie jej artykuły, jak chociażby precyzująca wysokość pensum nauczycielskiego, waloryzacja plac, czy motywacyjny system plac, są zasadne?

— W pytaniu pobrzmiewają echa dyskusji, która przed kilkoma miesiącami bulwersowała i antagonizowała środowiska nauczycielskie. Myślę, że nie pora i miejsce by tenaz właśnie, kiedy nowy resort ciągle jeszcze znajduje się w fazie kształtowania swej funkcjonalnej formuły przywoływać atmosferę tamtego okresu. Rzecz przeciwnie w tym, czy jestem zwolennikiem poszczególnych zapisów Karty Nauczyciela. Z takiego samookreślenia nie jeszcze nie wynika. Znaczenie istotniejsze jest odpowiedź jak to zapisy służą polskiej szkole, polskim dzieciom i jak sprządzają się w praktyce. A to jest już nie kwestia poglądów, lecz faktów.

Pytań, na które musimy odpowiedzieć wspólnie z całym stanem nauczycielskim, jest znacznie więcej. Kraj stoi w obliczu zasadniczych zmian społecznych i ekonomicznych. Czeką nas trudny okres. Trudny — bo wspólnie uczyć się będziemy funkcjonowania w odmiennych niż dotąd realiach; trudny — bo szkoła uczeń a są instytucjami szczególnie wrażliwymi reagującymi na wszystkie procesy i zjawiska zachodzące w rzeczywistości państwowej; trudny — bo oznaczający weryfikację dotychczasowych i przyzwyczaję głęboko, zażenionymi w naszej świadomości w naszym sposobie myślenia i w naszym działaniu. Czy potrafimy odpowiednio szybko włączyć się w rytm tych przemian? Czy potrafimy wnieść do nich nasze edukacyjne piętno?

Uważam, że nauczyciele są szczególną kategorią zawodową wymagającą troski i opieki ze strony państwa i społeczeństwa. Dotyczy to przede wszystkim tworzenia warunków odpowiednich dla drożności i rangi spełnianych przez nich zadań. Ale ta szczególność zasadza się również na wysokich wymaganiach stawianych przed nauczycielską profesją. Z tego przekłania wynika moje głębokie poznanowanie dla idei zawartych w Karcie Nauczyciela. Idei wystających z dążenia do przywrócenia wysokiej rangi pojęcia nauczyciela a wyznaczniaki prestiżu lokujących zarówno w sferze materialnej jak i etycznej zawodowości. I jeśli miałyby składać na taką deklarację, to chyba te tylko, że za jedną z głównych powinności ministra edukacji narodowej przyjmuję budowanie tak polmowanego prestiżu nauczyciela.

— Chciałabym się dowiedzieć, czy jest Pan Minister zwolennikiem kodeksu etycznego nauczyciela, kodeksu ucznia i innych kodeksów regulujących pracę, postępowanie nauczyciela i młodzieży w szkole?

— Wśród ogromnej przecież liczby zawodów są profesje o szczególnej doniosłości społecznej. W ich przypadku nawet najbardziej mistrzowski perfekcjonizm, największa biegłość w wykonywaniu określonych czynności nie są wystarczającym kryterium kwalifikacyjnym. Trzeba tu jeszcze przekroczyć wysoki próg wymagań moralnych, potocznie nazywany etyką zawodową.

Mają swój system norm etycznych lekarze, sędziowie, adwokaci, dziennikarze. Przestrzegają go surowo a fakty naruszania pętnowane są z całą bezwzględnością przez samo środowisko. To samoczynnie wywołuje wzbudza szacunek i uznanie społeczne, a w konsekwencji owoce głębokim zaufaniem. Bez zaufania społecznego nie można tych zawodów po prostu wykonywać.

Prostota tej filozofii powinna znaleźć uznanie w środowisku nauczycielskim chociaż, jak rozumiem, budzi pewne opory. Z pewną nadwrażliwością reagujemy na każdą niemal krytyczną ocenę. Powiedźmy sobie szczerze — nie jest to dowód siły lecz słabość. Dowód, że nie wszystko potrafimy sami w sobie jednoznacznie rozstrzygnąć.

Próba sformułowania nauczycielskiego kodeksu etycznego, postulowana w uchwałach XXIV Plenum KC PZPR nie jest podjętą intencją stworzenia sformalizowanego zestawu nakazów. Chodzi tu raczej o pogłębioną autorefleksję, o przywo-

łanie do świadomości pytań: jaki jestem? jaki powinienem być? Chodzi tu również o wydobycie na jaw tego, co intuicyjnie tkwi w każdym nauczycielu wykonującym zawód ze świadomego wyboru. Tak patrzę na ten problem.

A kodeks ucznia? Prace nad nim dobiegają końca. Toczy się jeszcze dyskusja, ale już niebawem otrzymamy projekt do zatwierdzenia. I znów jego intencją nie jest tworzenie przepisów precyzyjnie regulujących życie społeczności uczniowskiej w każdej szkole i określających wzajemne relacje z zespołami nauczycielskimi. Chodzi tu przede wszystkim o określenie płaszczyzny dla ważnej i odpowiedzialnej lekcji samorządności młodzieży, lekcji partnerstwa z dorosłymi. Wszystko, a może raczej najwięcej, zależy tu będzie od młodzieży. Jest to szansa nie do pogardzenia. Nauczyć się odpowiedzialności za siebie i innych, nauczyć się korzystać z szerokiego praw a jednocześnie uznawać to, czemu powinien się podporządkować każdy człowiek żyjący w jakiegokolwiek społeczności. A tym czymś są obowiązki wobec społeczności, do której się przynależy. W tym sensie kodeks ucznia dotyczy zarówno uczniów, jak i nauczycieli.

— Proszę nam powiedzieć, jakie doświadczenia wyniósł Pan ze szkół z czasów, kiedy był Pan nauczycielem? Czy przydały się one w życiu, w działalności politycznej i społecznej?

— Pracowałem w różnych typach szkół i w różnych środowiskach. Myślę, że w czasie me pracy pedagogicznej zrozumiałem przede wszystkim, że nauczyciel nie powinien działać jedynie sam, że wiele zależy od kontaktu z rodzicami, środowiskiem. Pojąłem również, że nierozdzielne są funkcje nauczyciela jako dydaktyka i wychowawcy. Nie da się tych spraw dzielić, choć trzeba przyznać, że tak pojęta rola nauczyciela jest bardzo absorbująca. Będąc nauczycielem starałem się widzieć i wpływać na rozwiązywanie problemów środowiska. A więc znów wiele doświadczeń z działalności społecznej, we współpracy z grupami ludzkimi. Bezspornie to bardzo pomagało w działalności politycznej jak również w pracy zawodowej.

— Jaki powinien być dziś polski nauczyciel, jakimi zasadami się kierować, co preferować?

— Lapidarne formuły czy definicje zawiodą, gdy formułujemy tak postawiony problem. W polskiej tradycji kulturowej egzystuje po dzień dzisiejszy dziewiętnastowieczny, pozytywistyczny model nauczyciela: idealisty, człowieka oddającego się bardziej posłannictwu społecznemu niż konkretnej profesji, niekłamanej autorytetu we wszystkim, co mówił i czynił.

Wraz z rozwojem cywilizacji, wraz z postępem społecznym zmieniają się jednak funkcje zawodu nauczycielskiego. Dziś powinien być raczej organizatorem sposobów uczenia się, jego podstawowym źródłem wiedzy dla ucznia, bardziej partnerem niż mentorem, bardziej przewidywalnym go zasłuchanym współczesnego życia niż surowym egzekutorem powinności, bardziej wychowawcą niż odytywaczem wiadomości. Ale to bardzo trudne zadanie. By je spełnić trzeba dużo wiedzy, mieć gruntowne wykształcenie, trzeba znać i kochać młodzież, mieć ugruntowany system wartości i pamiętać o tym w jakim kraju żyjemy, czym jest współczesna Polska. Mieć ponadto racjonalną wyobraźnię i rozumieć czemu sprostać musi dzisiejsza młodzież w dorosłym życiu, ku czemu wiedzie nas nieuchronnie logika procesu historycznego. Trzeba po prostu być nauczycielem całym sobą.

Jak na pismo związkowe przysłało — wrócić jeszcze do kontaktów ze Związkiem? Jak wyobraża sobie Pan Minister współpracę z ZNP oraz Krajową Radą Nauki ZNP?

— Pominął pan w pytaniu jeszcze jednego partnera związkowego. Federację Związków Nauczycielstwa Polskiego Szkół Wyższych i Nauki. Ja deklaruje współpracę ze wszystkimi organizacjami działającymi w oświecie i szkołach wyższych. Jej zasady są ujednolnione przepisami ustawy o związkach zawodowych oraz odrębnymi porozumieniami bilateralnymi. Ale przeciwnie nie chodzi tu tylko o respektowanie litery przepisu. To obowiązkiem na sprawę należy patrzeć znacznie szerszej i głębiej.

Związek Nauczycielstwa Polskiego stanowi trwały i niepodważalny czynnik rozwoju oświaty. Jego historyczne zasługi są powszechnie znane. Ponad osiemdziesiątletnia tradycja współczesnictwa we wszystkich o ważnej dla szkoły i nauczyciela wspiera dzisiejsze postawy i zaangażowanie. Związek ZNP, tego nie można lekceważyć czy nie doceniać. Reprezentantem interesów stanu nauczycielskiego na wszystkich poziomach edukacji będą nadal mieć swój aktywny udział w rozwiązywaniu problemów oświaty i szkół wyższych. Będziemy się do nich zwracać o pomoc, radę, wsparcie i współpracę w wielu sprawach. Jest to niezbędne również i w naszym administracji, interesie. Inaczej bowiem przyjmowana jest decyzja wewnętrznie uzgodniona czy choćby tylko znana przez środowisko a zupełnie inaczej ta podjęta przez zaskoczenie. Nie chcemy antagonizować lecz integrować wszystkich zatrudnionych w systemie edukacji narodowej wokół spraw kluczowych dla poziomu pracy dydaktyczno-wychowawczej. A tu jest tyle do zrobienia, że nie możemy tracić czasu i energii na spory czy nieporozumienia. Nie ma kwestii, w której nie można by osiągnąć kompromisu w imię wartości społecznych. I mimo iż czas przed nami niełatwy, to nie zabraknie nam dobrej woli dla wzajemnego zrozumienia.



Fot. Marek Suchecki

CO BY BYŁO, GDYBY...

BEZ POBŁAŻANIA

Zaproponowałam im: wyobraźcie sobie, że od matury upłynęło już kilka lat, skończyli studia, weszliście w dorosłe życie. Niektórzy z was zostali nauczycielami, albo ty (dziewczyna z kolczykiem siedziała na wprost mnie) jesteś dyrektorką szkoły, a chłopiec w niebieskiej bluzie, ten po lewej, awansował na ministra edukacji narodowej. Jaką szkołę chcecie tworzyć? Jaki będzie „wasz” system oświaty w dwutysięcznym roku?

Mieli woła godzinę, nikt ich nie kontrolował, mogli wyjść i zająć się własnymi sprawami. Zostali chcieli o tym rozmawiać. — Tylko bez nazwisk! — poprosiłam. Wystarczy: IV b z XXXVII Licea Ogólnokształcącego im. Jarosława Dąbrowskiego w Warszawie.

wyboru, poniżając w jakiś sposób ucznia... (chłopiec w niebieskiej bluzie).

— Nie chodzi o to, aby uczniowi pobić, ale przecież osiemnastolatek to już dorosły człowiek, z którym trzeba się liczyć (dziewczyna w dzinsach).

— Niech szkoła będzie płatna (dziewczyna w okularach). Wtedy uczeń potraktuje ją z większym szacunkiem, nauczyciel dostanie wyższą pensję i nie będzie uciekał z zawodu, lepiej wyposażą się pracownie, wreszcie znajdą się pieniądze na opał.

— Szkoła płatna i prywatna (podchwyty dziewczyna z kolczykiem), mamy swobodę w ustalaniu programu, religioznawstwo, muzykę, plastykę, wychowanie techniczne traktujemy jako przedmioty nadobowiązkowe, wydłużamy dzień nauki do 16-tej, 17-tej, ale potem uczeń ma czas wolny, do domu nie zabiera żadnych książek — o, proszę sprawdzić, ile waży moja teczka.

— Wprowadzamy do programu historię sztuki, kulturoznawstwo (dziewczyna w okularach)... i kładiemy nacisk na języki obce (dziewczyna w dzinsie).

— Jako minister edukacji (chłopiec w niebieskiej bluzie) znoszę matury i zaostresz egzaminy na studia. Do szkoły średniej wprowadzam równoległe klasy o zróżnicowanym poziomie wymagań, np. piątkowe, czwórkowe, trójkowe. W najstarszych klasach uczniowie pracują tylko na wybranych przedmiotach, które mają za miarystudiować.

— Konieczne zajęcia w mniejszych grupach i może metodą zaliczeń (dziewczyna z kolczykiem). I szersza skala ocen.

— Zadnych nudnych akademii (chłopiec krótko ostrzyżony), do tej pory przysłuchujący się rozmowie), żadnych przemówień, które uczniowie znalby już na pamięć.

— Pewna historia: przychodzi do szkoły młody nauczyciel, mówi o nim, że „czuje bluesa”. Organizuje kabaret. Uczniowie piszą teksty, wystawiają swój program na akademii. Jest fajnie, bez sztamty. Odrywają, że można się zapalić, zaangażować, że może się chcieć coś robić. A do... odejścia nauczyciela.)

— No właśnie, jak zorganizujemy czas wolny? (Tym pytaniem dziewczyna z kolczykiem uświadamia mi, że niepostrzeżenie fikcją przerodziła się w rzeczywistość, że oni naprawdę tworzą w tej chwili „swoją” szkołę.)

— Pracownie dla utalentowanych, wystawy ich twórczości, połączone z wyprawami, koncerty, prezentacje własnych utworów literackich (dziewczyna z lokami).

— Klub! (dziewczyna w bluzie „w panterę”). Zamiast zbierać się po piwnicach... Na przykład taka sala, albo tylko jedna ściana, gdzie każdy mógłby napisać, co mu wypadnie do głowy (chłopiec w kurtce). Lady Punk czy inne hasło... Żeby mógł podkreślić swoją indywidualność.

— Weekendy za miastem... Wycieczki... Kontakty z młodzieżą innych krajów (wszyscy, jedno przez drugiego).

(Pewna historia. Od poniedziałku do piątku uczeń marzy o sobocie: pójdę do kina, Przeczytam książkę, Odpowiem Kowalskich. Znajdę na uszyszko czas. Przychodzi sobota. Uczeń śpi do południa. Potem nastawia muzykę, Snuje się po domu. Wieczorem idzie do znajomych. W niedzielę odspija. Snuje się po domu. Słucha muzyki. W poniedziałek przychodzi do szkoły zmęczony i nie przygotowany.)

— Niech by uczeń trochę zarobił, np. w spółdzielni szkolnej (chłopiec krótko ostrzyżony).

— Jasne (chłopiec w niebieskiej bluzie), pólecie pracy społecznej jest zupełnie zużyte, ośmieszona, każdy lepiej pracuje, jeżeli ma dostać za to pieniądze.

(Dialog w Ogródku Łazienkowskim podczas grabienia liści:

— Pani profesor, czy dostaniemy za to pieniądze?

— No uiesz, chyba żartujesz!)

— Oni znów o pieniądzach. Pomówmy o idealach (dziewczyna w białym swetrze).

— Idealów nie można kształtować szczerze, ani podać na tacy, one muszą się znaleźć same (dziewczyna w okularach).

— Przy pomocy nauczyciela. On ma być wzorcem, autorytetem, ale nie we wszystkich dziedzinach, przecież nie ma ludzi uniwersalnych (dziewczyna w dzinsie).

— Nauczyciele, czyli my (dziewczyna z lokami, śmiejąc się).

(Scena: Dzwonek. Nie przerywają dyskusji. Pytaniem — kto z was wybiera się na studia pedagogiczne? — przywołuję ich do rzeczywistości. Spoglądają na siebie znacząco i po raz pierwszy od godziny zapada milczenie.)

MAGDALENA GROCHOWSKA



502

MARIA KALIŃSKA

W DUECIE

Z Bydgoszczy wyruszamy na Szubin, Kcynię. Gdy mijamy rozjazd, prowadzący do miejscowości o pieszczotliwej nazwie Ameryczka, dowiadujemy się, że do Mycielewa jeszcze połowa drogi. Na polach jesienne deszcze potworzyły rozlewiska, w tłustą, kujawską ziemię woda wsiąka wolno: — Żeby przejść na skróty, polnymi ścieżkami, najlepiej mieć buty na szelkach, tak je błoto wciąga. A jak nauka odbywa się na dwie zmiany, powrót do domu, już po ciemku, jest dla dzieci prawdziwą mordęgą — komentuje krajobraz i pogodę wizytator bydgoskiego kuratorium.

Mijamy jakieś zabudowania, rozrzucone po obu stronach szosy — duże gospodarstwo rolne. — To Załaski, kombinat PRG. Zaraz będzie widać szkołę, stąd to tylko półtora kilometra — słyszę.

I rzeczywiście, widać. W tle niewielka osada, domy rozrzucone daleko w polu, a na pierwszym planie, tuż przy szosie — piękny, dwuskrzydłowy, nowiutki budynek. Szkoła w Mycielewie.

Cofnijmy się teraz wyobraźnią w przeszłość. 70 lat temu, w 1917 r. powstała tu pierwsza szkoła powszechna Dwuklasowa, o dwu nauczycielach. Mijały lata, a ona służyła wiernie dzieciom z okolicy. Po wojnie mycielewickiej placówce przybyło obowiązków — tu odbywały się kursy dla analfabetów oraz uzupełniające dorosłym wiedzę w zakresie szkoły podstawowej. Oczywiście, spełniała także funkcję normalnej szkoły podstawowej, tym razem już siedmioklasowej. Modernizowano ją, a także; założono centralne ogrzewanie, doprowadzono elektryczność, wodę. W latach siedemdziesiątych zaczęło się nawet mó-

ni taki duet, że i w Filharmonii Pomorskiej drugiego takiego nie znajdzie.

Sytuacja mycielewickiej szkoły stała się tymczasem tragiczna. Liczba uczniów w roku 1983/84 osiągnęła rekordową — 312. — Ani uczyć, ani wychowywać w takich warunkach nie można. Nawet dwie zmiany nie stanowiły rozwiązania — wspomina pan Mossakowski.

— Co wyrośnie z dzieci, uczonych w takich warunkach, do jakich szkół ich potem przyjmą? — zadał sobie pytanie Komitet Rodzicielski. I 2 listopada 1983 r. postanowił: rozbudowujemy naszą szkołę. Stary

parkietem i drabinkami, taki, żeby mógł zastąpić salę gimnastyczną.

Perypetie z projektem to zupełnie inny rozdział. Sami wymyślili, że nowe skrzydło dobudują do starej szkoły pod kątem prostym i połączą oba łącznikiem; tu chcieli mieć wejście, główny hall i tzw. reprezentacyjną część szkoły. Projektantowi ten pomysł nie podobał się, miał zupełnie inne koncepcje. — On zupełnie tak, jakby nigdy szkoły nie widział. Uparł się, że obok wejścia musi być recepcja, a nam było potrzebne pomieszczenie dla sprzątaczek i woźnych, miejsce na zainstalowanie baterii dzwonek, w tym oddzielnych dla oddziałów przedszkolnych; musza być melodyjniejsze, cichsze, żeby nie denerwowały maluchów — wspomina pan Mossakowski.

Dyskutowali więc, poprawiali, zmieniali. To miała być taka szkoła, jaka im jest potrzebna. I gromadzili materiały budowlane. Kiedy 16 kwietnia 1986 r. rozpoczęli budowę, na placu było zgromadzone 90 proc. potrzebnych materiałów, w tym takie rarytasy, jak cegła na komin, 3500 sztuk tych cegieł zdobywali po kilkaset. Ale wysiłek opłacił się — materiał kosztował ich tylko 3 miliony, co dziś wydaje się ceną śmieszną.

Sama budowa to — zdaje się — najbarwniejszy fragment przedsięwzięcia. Niestety, panowie stają się w omawianiu szczegółów wyjątkowo wstrzymiżliwi. — Widzi pani, jeszcze nie skończyliśmy wszystkich robót, zresztą było, minęło, w końcu i tak szkoła stoi.

1 września tego roku oddano do użytku nową — oficjalnie: rozbudowaną — szkołę. Były przemówienia, podziękowania, prezenty. Goście z Bydgoszczy pod niebiosa wynosili zasługi naszych bohaterów a Zarządowi Oddziału ZNP w Kcyni wręczono pierwszy w województwie sztandar. Czar-

zbiórki, na górze, w pracowni informatycznej zebrało się kółko komputerowe. — Od wczoraj mamy video, przywieziono program na „Spectrum”, więc kółko od razu się zebrało — to pan Mossakowski. Przy okazji wysłuchuję tyrady o cenach, jakich żąda CEZAS za komputery i oprogramowanie. W porównaniu z wolnym rynkiem, zarabiają na każdej sztuce 80 tys. zł.

Hasło CEZAS budzi zresztą żywy odzew. Z jednej strony życzliwość i żaradność pracujących tam ludzi jest wysoko oceniana. Kuratorium nie oszczędzało na wyposażeniu placówki, ale to, że dostał wszystko, na czas i takie jak chcieli (mebelki np. musiały być koniecznie jasne!) też się liczy. Ale ubóstwo oferty, nietytniczność dostaw i te ceny. Żeby tylko na komputer, ale tak jest ze wszystkim!

Urządzanie się ciągle jeszcze trwa. Już po otwarciu szkoły postanowili w łączniku nad wejściem zrobić izbę pamięci. (Pierwotnie miał to być gabinet dentystyczny, ale ten może mieścić się razem z lekarskim — przecież jednocześnie nie będą czynne). Zgromadzono już drewno na boazerię i wyłożenie sufitu, wkrótce przyjdą ławy i gabloty. Ekspozyty tymczasem są porożstawiane po całym gmachu, tylko na środku pomieszczenia stoi piękna, ogromna, 35-letnia palma — dar inspektora Gorajskiej z okazji otwarcia placówki. (Ciekawe, jak to ogromne drzewo tu wnieśli?)

Chodzimy po gmachu. Gdy słucha się rozmów, staje się oczywiste, że każdy gwóźdź wbity tutaj, jest osobistym znakiem wszystkich. Tu coś trzeba poprawić, tam zmienić, „zerówce” kupimy inny dywan, a ten pójdzie do przedszkola. Gospodarze zaplecze może zaimportować kierownikowi dobrej restauracji (stołówka jest już czynna od 10 dni), ale wszyscy widzą goły tynek po zamurowanych na polecenie san-epidu drzwiach. — Nie możemy dostać glazury tego samego koloru, przecież inną nie będziemy latać — denerwuje się pan Wawrzyniak.

Pani Halina Mossakowska, prezes ZO ZNP w Kcyni, zwraca uwagę na świetne warunki pracy koleżanek zatrudnionych w kuchni i martwi się, że nie wiadomo, gdzie postawić szafy na ubrania pracownic. — Tu jest prysznic, więc nie można, bo będzie wilgotnieć!

Pani Halina, tak jak mąż, jest już na emeryturze, ale jako prezeska ma pół etatu i też tymczasowo „urządza się” w Mycielewie. — Okrąg powinien być tam, gdzie inspektor, członkom byłoby wygodniej, ale w Kcyni teraz zupełnie nie ma warunków, więc „przytulimy się” tutaj.

W pokoiku na piętrze honorowe miejsce na ścianie zajmuje sztandar, z którym jest kłopot: — Jak go powiesiliśmy okazało się, że haft jest krzywy, trzeba będzie zająć poprawki.

Ledwie trzy miesiące minęły od otwarcia szkoły, a już wrasta w krajobraz i układy społeczne. Zaczyna także pełnić funkcję w żadnym programie wprost nie zapisane, ale jakże ważne. Przepraszam, ale o tym nie sposób nie napisać. Toalety w wiejskiej szkole, wbrew ogólnie honorowanej „polskiej normie” tu przypominają te, opisywane z zachwytem w korespondencjach ze Skandynawii. Barwna glazura, pod kolor ręczniki, mydło, firaneczki i kliniczna wręcz czystość. — Przez pierwszy tydzień cały personel szkoły uczył dzieci, jak się zachowywać, jak obchodzić z urzędzeniami. Teraz nie mamy żadnych problemów — słyszę.

Szkoła stała się atrakcyjna. Mówi jedna z mieszkanki Mycielewa: — Szkoła, że ja ani moje dzieci nie mogły się tu uczyć. Ale wnuczka poszła do „zerówki” w tym roku, już w nowej szkole. Jej będzie dobrze. Dziękuję panu Wawrzyniakowi za jego pracę, a PGR-owi w Chwaliszewie za pomoc. Ja wiem, co to znaczy budowanie, myśmy z mężem 15 lat się budowali.

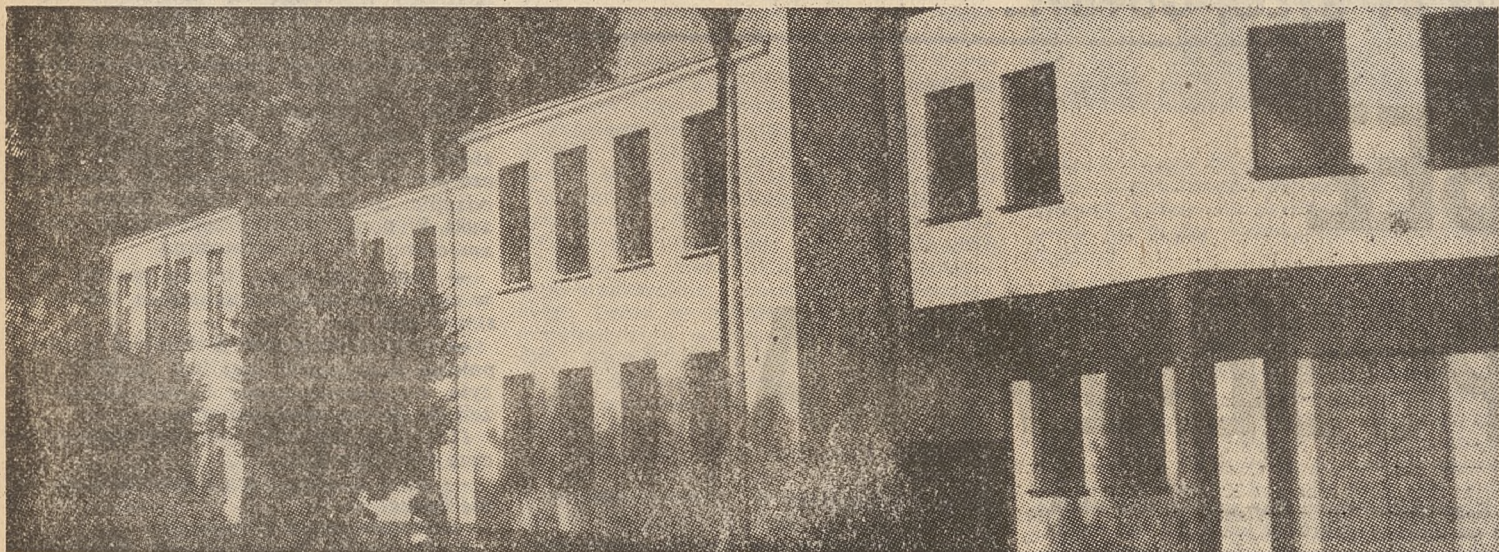
Pan Mossakowski: — Żal mi tych roczników, które skończyły szkołę w ostatnich trzech latach. Napracowali się, ale z tego nie skorzystali.

I uczennica ostatniej klasy: — Teraz na lekcjach chemii możemy robić doświadczenia, jest ciekawie. Jestem już ostatni rok i szkoda mi, choć w wakacje nie odpoczywałam, bo przeprowadzaliśmy szkołę do nowego budynku. A później pójdę do liceum i na studia. Chcę być nauczycielką i wrócić tu. W takiej szkole każdy chciałby pracować.

Uczniowie nie zapomnieli o starszych kolegach. Jeszcze we wrześniu zorganizowali dyskotekę, na którą zaprosili absolwentów z ostatnich lat. Pani Wawrzyniakowa trochę martwiła się, że będą chodzili po gmachu, zdeptają podłogi (pogoda była nienajlepsza), więc przemysłnie postawiano przejście, tarasując wstęp do dalszych rejonów. Zabawa udała się wspaniale, nowa radiola wyprodukowała tyle decyzji, ile potrzeba kilkunastolatkom do szczęścia. Pod koniec byli uczniowie, zorientowawszy się, czemu służą zapory, przyszli z prośbą, że chcą obejrzeć swoją szkołę. Zakłopotana popatrzyła na ich nogi. Zrozumieli, wszyscy zdjęli buty i boso poszli zwiędzać gmach.

Wieczór. Wokół budynku płona nastrojowa, tzw. parkowa latarnia. Za szosą, przez którą prowadzi białe pasy, nowa wiata (dar sołectwa) ochroni dzieci w niepogodę. Trzeba jeszcze ogródzić teren, zbudować przedszkolny ogródek jordanowski. Do marca spodziewają się zakończyć ten etap rozbudowy, więc latem maluchom plac zabaw będzie nieodzowny. Jak się zrobiło tyle, wyraźnie widać, jak dużo jeszcze jest do zrobienia.

Ale czy te potrzeby będą oczywiste dla następnej zmiany społeczników? Ten duet zrobił swoje.



wić o tym, że będzie stawiany nowy budynek, ale jakoś nie z tego nie wyszło.

Na początku lat osiemdziesiątych sytuacja zaczęła być dramatyczna. Ośmioklasowa już szkoła ciągle mieściła się w „gmachu”, wzniesionym dla potrzeb szkoły elementarnej. A więc nauka na dwie zmiany w zatłoczonych klasach. O indywidualnej pracy z uczniem, rozwijaniu jego zdolności, zainteresowań, organizacji zajęć pozalekcyjnych — nawet marzyć nie można. A gdzie kształtowanie nawyków cywilizacyjnych, rozbudzanie potrzeb kulturalnych jeśli dzieci w szkole nie mają gdzie powiesić kurtki, postawić przemoczonych bućków, by przeszły?

Kryzys jednak przekreślił szansę na to, że budowa w Mycielewie nowej placówki trafi do planu w dającej się przewidzieć przyszłości.

★

Pan Stanisław Mossakowski przepracował tu 17 lat. Teraz, choć to początek grudnia, jest na urlopie wypoczynkowym, ale ze szkoły praktycznie nie wychodzi. Nietypowa w naszym zawodzie pora urlopu i spędzania go w pracy, mają dwa powody. Latem dyrektorowi Mossakowskiemu nie wakacje były w głowie — kończono rozbudowę, sprowadzano wyposażenie. Wszystkiego trzeba było dopilnować i urządzić budynek tak, by 1 września uczniowie mogli rozpocząć naukę już w nowej szkole. A po urlopie — idzie na emeryturę — Pracowałem do października, taka była umowa. Jak, bym mógł odejść, nim końca dobiegła największa sprawa, w jakiej uczestniczyłem w życiu?...

Drugim bohaterem tej opowieści jest Piotr Wawrzyniak, inżynier rolnik pracujący w pobliskim gospodarstwie PGR Chwaliszewo; od pięciu lat przewodniczy Komitetowi Rodzicielskiemu, od czterech także społecznemu Komitetowi Rozbudowy i Modernizacji Szkoły Podstawowej w Mycielewie. — Tu mam swój dom, tu pracuję, więc trzeba wszystko tak urządzić, żeby chciało się żyć. Teraz zrezygnuję ze szkolnych funkcji, swoje zrobiłem.

O dyrektorze Mossakowskim i inżynierze Wawrzyniak inspektor Tekla Gorajska nowie: — Przez ostatnie lata stanowili

budynek podda się modernizacji, dobuduje doń dwie, trzy nowe klasy.

1983 rok to nie były czasy na rozpoczęcie jakichkolwiek inwestycji, nawet tak małych jak wiejska szkoła, ale pomysł modernizacji rozbudowy — spotkał się u władz z życzliwym parciem. Czternastoosobowy komitet, w którym jak to wszędzie bywa — część członków stanowiły „mariwate dusze” zaczął szukać sojuszników. I znajdował ich — co niejednego zaszkodziło — stosunkowo łatwo.

Tu geograficzna dygresja. Mycielewo w sensie administracyjnym ma fatalne położenie. Gminny ośrodek, Kcynia, jest oddalony o kilkanaście kilometrów. Część najbliższych położonych wiosek, z których dzieci tu się uczą, leży już „za granicą”. Tamże jest siedziba kombinatu PGR Załaski, miejscowego potentata. Mycielewo ma natomiast tę przewagę nad innymi miejscowościami, że stanowi naturalne centrum dla okolicznych wiosek i osad. Na szczęście nigdy nie zagrały miejscowe ambicje lub animozje, więc wszyscy chętnie deklarowali i co ważniejsze — dawali pomoc. Nawet zakłady z odległego Szubina nie odmówiły. Najhojniejszy od początku był macierzysty zakład inżyniera Wawrzyniaka, Chwaliszewo.

— Musieliśmy mieć kilkanaście milionów, żeby nas dofinansowano — wspomina inżynier Wawrzyniak — Tyle od mieszkańców się nie zbierze. Owszem, dawali chętnie, choć nie zawsze ci najbogatsi. Chodziliśmy po domach, rozmawialiśmy. Czasem było tak, że żona zabawiała nas rozmową, a mąż miał zaraz przyjść, bo mył się po pracy. Mył się i mył, ale ciągle był widać brudny, bo nie wychodził. W końcu zaczęliśmy w szkole wywieszać listy tych, którzy dali na szkołę. Pomogło. Wszyscy chcieli, żeby ich nazwisko można było przeczytać na tablicy. Ale w ten sposób zebraliśmy tylko pół miliona i deklaracje pracy oraz transportu. Resztę musieliśmy dostać od zakładów.

Niemalą rolę w pomyslniejszej zbiórce odgrywał z pewnością fakt, że pan Wawrzyniak jest znanym w województwie działaczem społecznym, a dyrektor Mossakowski — w ciągu prawie dwudziestu lat pracy w mycielewickiej szkole — wszędzie w okolicy spotykał swych byłych uczniów.

Trwały równocześnie dyskusje nad kształtem dobudówki. A ponieważ w miarę jedzenia apetyt rośnie, przeważała opinia: żadnej prowizorki i łataniny. Budujemy nie na skalę konieczności, a na miarę potrzeb. Początkowa dobudówka na dwie, trzy izby lekcyjne — zmieniła się w skrzydło z ośmioma pomieszczeniami do nauki, gabinetami, zapleczem socjalnym z kuchnią, stołówką i szatniami, szeroki hall z

na owca okazała się być tylko jedna: Rolnicza Spółdzielnia Produkcyjna w Tuszyńcu, która nie zapisała się w pamięci społeczników choćby jednym życzliwym gestem — nie wspominając już o pieniądzu — co jej skrupulatnie wypomniano przy tej uroczystej okazji. Uświetniła oddanie szkoły orkiestra kombinatu PGR Załaski. (Kierowana zresztą przez byłego ucznia mycielewickiej placówki, który jest dziś muzykiem w Bydgoszczy, a tu dojeżdża dwa razy w tygodniu.) Wszystko to zostało zarejestrowane na kasecie i każdemu zainteresowanemu jest odtwarzane na nowiutkim radiomagnetofonie „Hania”.

Prace budowlane jednak trwały nadal. Część starego budynku — cztery sale lekcyjne — włączono po remoncie do nowej szkoły. Rzemieślnicy pracują jeszcze w tej części, w której będzie przedszkole i dwa mieszkania dla nauczycieli, przedmiot radości nowej dyrektorki, pani Jolanty Tarneckiej-Wawrzyniak, prywatnie żony pana Piotra. Zamierzona rezygnacja tego ostatniego z przewodniczenia Komitetowi Rodzicielskiemu wiąże się po części z funkcją żony. — Nie byłoby dobrze, gdybym pozostała — mówi. Pewnie, wbrew pozorom, ma rację, przecież jest stąd. Pani Jolanta niedawno wróciła do Mycielewa; przez ostatnie trzy lata pracowała w Bydgoszczy, w ODN. — Wypożyczaliśmy ją tylko, taka od początku była umowa — wyjaśnia pan Mossakowski.

Mieszkania to problem numer jeden. — Mamy teraz takie świetne warunki. Można pracować w zespołach i kołach zainteresowań, organizować zajęcia pozalekcyjne, być z dziećmi. I wszystko rozbija się o godziny odjazdu autobusów — wdycha pani Wawrzyniak, bo w jej szkole większość nauczycieli dojeżdża. Z perspektywą szybkiego otrzymania do dyspozycji mieszkań wiąże plany ściągnięcia do Mycielewa wykwalifikowanego specjalisty muzyki. Pan Wawrzyniak ma już obietnicę z bydgoskiej WSP; znajduje im chętnego, jak tylko będzie gotów, dach nad głową.

— Będziemy chyba jedną szkołą w województwie, mającą muzykę z prawdziwego zdarzenia — rozmarzają się wszyscy.

Kwestie mieszkaniowe wywołują przy okazji wymianę poglądów na temat: czy nauczyciel jest dobry, bo w szkole stwarza mu się dobre warunki, czy też dobry na złe warunki nie przyjdzie. Znaczą, że jest to sprawa, o której rozmawiano tu nie raz.

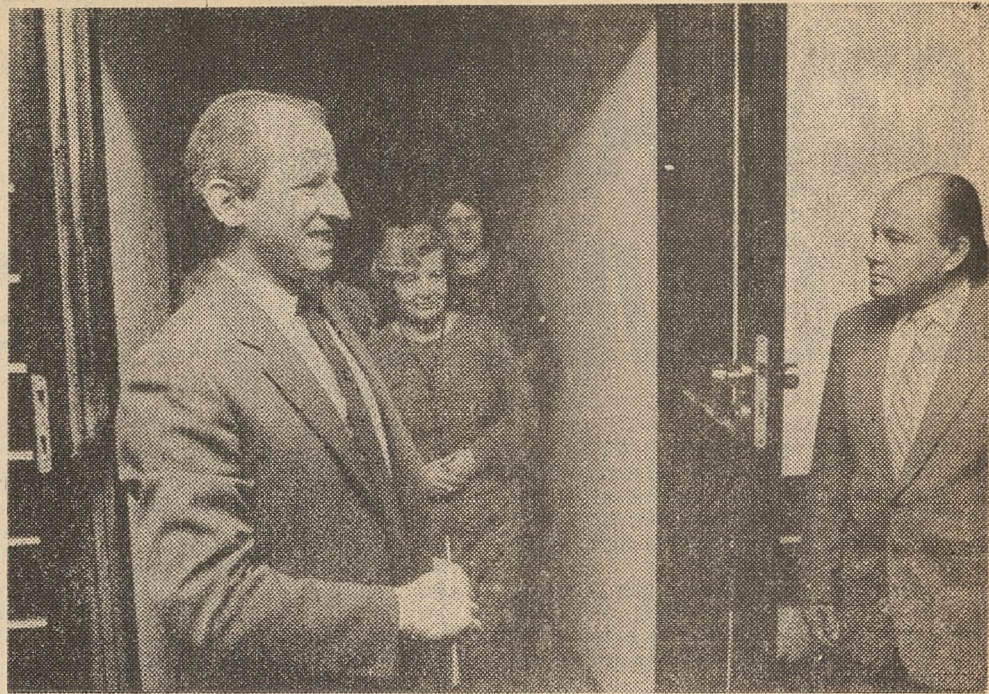
★

Z tym limitowaniem pracy szkoły przez odjeżdżające autobusy nie jest jednak tak źle. Dawno skłóciły się już lekcje, a w budynku bez przerw coś się dzieje. W stołówce i jednej z klas trwają harterskie





HALINA DRACHAL



Zdjęcia: Marek Suchecki

I WŁASNY I NIE CIASNY

Wtopiony w secesyjną zabudowę ulicy Kościuszki wyróżnia się świeżością tynków. U góry wypukły, z parteru wklęsły. Ani duży, ani mały, taki w sam raz nie narusza zabytkowego charakteru ulicy. Centralnie położony przy głównej ulicy Suwałk uznanej za zabytkową, Dom Nauczyciela ZNP powstawał z pewnymi oporami. Tak naprawdę to szczęśliwa dla niego okazała się dopiero dekada głębokiego kryzysu. Paradoksalne. Wcześniej jakoś nie miał szczęścia.

Dziś już stoi. Od pomysłu do jego urzeczywistnienia minęło dwadzieścia jeden lat. Pierwszy, siedmioosobowy Komitet Budowy Domu Nauczyciela w Suwałkach, na czele z Piotrem Chuchnowskim, szefem jeszcze powiatowej rady narodowej, organizuje się w roku 1966. 23 listopada Anno Domini 1987 nie ma co prawda przecinania wstęgi, ale i bez tego otwarcie Domu odbywa się bardzo uroczystość. Henryk Kudela, obecny przewodniczący Społecznego Komitetu, zaczyna od przypomnienia całej krzyżowej drogi tego budowania.

Już w 1966 r. nauczyciele dobrowolnie składają się po pół procenta od pensji. Mija kilka lat. W 1974 r. kierowanie społecznym komitetem przejmuje, po śmierci poprzednika, Henryk Kudela. Jego zastępcami zostają Andrzej Mickaniewski i Zdzisław Ruczek, sekretarzem Stanisław Ślimko. Z poprzedniego komitetu do nowego wchodzi — Jan Wysocki i Tadeusz Wojno.

Doprowadzają do opracowania dokumentacji. Koszt budowy domu szacuje się w owych latach na 7,5 mln złotych. Inicjatorzy widzą już w nim pokoiki dla Związku, hotelik na 60 miejsc. Suwalszczyzna zaczyna być modna. Region odwiedzają coraz liczniejsi turyści. Nie bardzo mają gdzie głowę na nocleg przytułić. Suwałki, decyzją administracyjną, stają się stolicą regionu. Argumenty dla tej budowy są więc nie byle jakie. Na miejscu ma być klub. Pomysłeli i o potrzebach ducha, kultury, rozrywki. Takie są plany.

Wykonania podejmuje się Przedsiębiorstwo Budownictwa Komunalnego. Ale już w październiku tego roku rezygnuje z wykonawstwa, tłumacząc się decyzją dyrektora zjednoczenia. W grudniu podpisują więc umowę z Elkim Przedsiębiorstwem Budowlanym, które buduje zaplecze i w lutym roku następnego odmawia dalszej współpracy. Ówczesny minister budownictwa zakazał bowiem kontynuowania, ponadplanowych budów, a ta właśnie do takich należała. Znowu następuje przerwa.

Próby interwencji społecznego komitetu u władz wojewódzkich i centralnych spełniają na niczym. Nic nie wskórał także Zarząd Główny ZNP. Budowa nie wchodzi do planu inwestycyjnego na rok 1976. Kompetentnym czynnikiem nie trafiają do przekonania żadne argumenty. W rok później inwestorem zastępczym zostaje Rejonowa Dyrekcja Rozbudowy Miast i Osiedli w Suwałkach.

W tym czasie ulicę Kościuszki uznano za zabytek, dokumentację trzeba było dostosować do nowych wymogów architektoniczno-urbanistycznych. Nową dokumentację projektowo-kosztorysową, uwzględniającą także zaplecze gastronomiczne (którego w pierwotnej wersji nie było) opracowuje Zespół Specjalistów ds. Projektowania Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej.

No i znowu zaczyna się poszukiwanie wykonawcy. Nie bez najróżniejszych podchodów, nacisków, protekcji. Wreszcie podejmuje się tego zadania Wojewódzka Spółdzielnia Budownictwa Wiejskiego.

Jest październik roku 1979. Mija już trzynaście lat od chwili, gdy idea powstania Domu Nauczyciela ZNP w Suwałkach zaprzatła myśli miejscowych działaczy. Ciągłe jest to jednak idea, póki co mna-

terializowana w formie dokumentacji. Zebrane od nauczycieli suwalszczyzny składowe pieniądze trafiają na wartości. Leżąc w banku nie podlegają rewaloryzacji.

Budowa rusza w 1981 r. Robotnicy z WSBW zaczynają tzw. stan surowy. I powoli, bo powoli, jednak pokonując tysięczne trudności budowa jest kontynuowana. Wtedy, gdy w całym kraju zaczyna być już bardzo trudno, dla niej jakby nastały lepsze czasy. Najpierw powstaje część hotelowa, później gastronomiczna. Cały czas czuwają nad nią ludzie ze Związku. Byli prezes Zarządu Okręgu ZNP, Józef Murawski, jeździ po kraju, zdobywa materiały, prosi, czasem wymusza kontynuowanie budowy.

Po nim pałeczkę przejmuje Andrzej Todorski, obecny prezes okręgu. Też od początku żyje tą budową, poświęca jej niemal każdą wolną chwilę. Sekundują mu inni, m.in. Stanisław Kuczyński, okręgowy sekretarz. Ten dom staje się sprawą ich ambicji. Musi powstać, musi być wreszcie skończony i to w takim kształcie, by ludziom oko zbiegało. Z zazdrości.

Im bliżej końca, tym więcej sojuszników. Budowę wspierają władze administracyjne i polityczne Suwałk. Przychylili się jej i wojewoda, Kazimierz Jabłoński, i sekretarz KW PZPR, Waldemar Berdys. To mgliste brzmienie wsparcia oznacza całkiem konkretną pomoc w sytuacjach, zdawałoby się, beznadziejnych.

Ostatnie tygodnie są już bardzo gorące. Niewiele tak naprawdę wierzy, że zdąży z oddaniem jeszcze w tym roku. Tyle jest jeszcze do zrobienia. Ale oni się zaparli. Wszyscy, łącznie z wykonawcą, podwykonawcami, ludźmi z Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Robót Inwestycyjnych. Nie schodzą z budowy dwaj rzemieślnicy: stolarze Stanisław i Edward Górni.

Janosław Wołyniec, nauczyciel zawodu w Zespole Szkół Zawodowych CZSP, przychodzi razem z młodzieżą. Przychochodzą też inni nauczyciele suwalskich szkół: podstawowych — dwójki, trójki, piątki i dziesiątki, z przedszkół, ze Studium Medycznego, Ośrodka Szkolno-Wychowawczego, Zespołu Szkół Technicznych. Pracują dla siebie i swoich kolegów. I to często od rana do nocy. Także ci, których udało się ściągnąć tu do pracy. Bo załoga jest specjalnie dobierana. — To mają być ludzie niezawodni — słyszę w Związku. Dlatego przez lupe przyglądają się potencjalnym kandydatom. Z niektórych rezygnują.

Dyrektowanie powierzili Janowi Szurowskiemu, byłemu nauczycielowi, człowiekowi pedantycznie lubiacemu porządek, sprawom organizację i wielkiemu miłośnikowi... kwiatów.

Cały personel Domu liczy trzydzieści osób, w tym tylko pięć to tzw. pracownicy administracyjni, który to fakt moi rozmówcy podkreślają z całą mocą. Jest już główna księgowa, Danuta Rejterada, ściągnięta z Warszawskiego Ośrodka Kuratorskiego, szefową administracji została Elżbieta Wisiecka — ma przygotowanie hotelarskie, magazynierka — Ewa Kozłowska, która przyszła tu z Grudziądza. Jest też Edward Kanoza, konseruator. Będzie miał pełne ręce roboty, by to, co dziś tak pięknie i nowe, jak najdłużej takim pozostało. Porządku powierzono Krystynie Kozłowskiej. Są też recepcjonistki. Ostatnie dni przed otwarciem wszyscy ustawiają meble, wieszają zasłony, porządkują, szorują. Są w Domu niemal bez przerwy. Wszystko musi być na blysk. I jest. Robi wrażenie. Ale o tym za chwilę.

Nie ma jeszcze szefowej kuchni. — Ale to właściwie sprawa bliska załatwienia — mówią mi w Związku. — Jest już kandydatka i to taka, o jaką nam chodzi. Dobra stołowa — notabene ta jest na 150 miejsc — to nasze być, albo nie być. Już

dziś, choć jeszcze nie ruszyliśmy, mamy około 200 nauczycieli chętnych do korzystania z obiadów. W pobliżu Domu jest kilka szkół, więc każdemu jest „po drodze”. Posiłki muszą być tak przyrządzane, by ludzie chcieli do nas przychodzić. Nie możemy ich zawieść. Wymagamy od personelu fachowości, ale przecież nie za darmo. W zamian nieźła pensja no i warunki pracy. Gdzie kucharka ma takie warunki?

Rzeczywiście, zaplecze gastronomiczne wyposażone jest wspaniale. Kuchnia cała w błękitne kafelki z nowoczesnymi urządzeniami do przygotowywania posiłków, łazieneczki, magazynki, pokoiki socjalne, te z kolei seledinowe. Wszystko zgodnie z wymogami SANEPID, który zakwestionował jedynie brak osobnego pomieszczenia do przechowywania i mycia — mechanicznego — jaj. (Ten nowy wymóg, to z pewnością wynik działania salmonelli.) W takiej kuchni dziennie można przygotowywać do sześciuset obiadów. Oby smacznych.

Od ulicy mieści się hotelik z 74 miejscami noclegowymi. Związkowców raczej nie boli głowa o ich wykorzystanie. W Suwałkach jest tylko jeden hotel „Hańcza” o 120 miejscach, a chętnych zawsze dużo więcej. No i standard. Pokoiki w Domu Nauczyciela są przesyłne. W każdym łazienka z wc, prysznic, na ścianach kafelki. Brakuje jeszcze kabin prysznicowych, ale i to tylko kwestia czasu.

Pokoje różnej wielkości — są jedyne, dwójki, czwórki — sprawiają wrażenie przytulnych i bardzo wygodnych. Wszędzie tapczaniki, pufy, toaletki. — Wiadomo, w tym zawodzie dominują kobiety, więc toaletki obowiązkowo muszą być — słyszę. Wszystko w ciepłych barwach. Nowoczesne, nieszablone. To zasługa projektanta Dariusza Pakocy z Suwalskich Fabryk Mebli. Pierwsze piętro w zieleni — ten kolor dominuje w przestronnym holu, na drugim króluje czerwień.

Specjalnie dla tego Domu zaprojektowane meble nie mają nic z tradycyjnej hotelowej sztampy. Przyciągają wzrok. Tylko pracownikom i szefowi Suwalskich Fabryk Mebli, Stanisławowi Janowskiemu zawiadzamy, że w czasie uroczystości otwarcia Domu mogliśmy już obejrzeć umebłowane wnętrza, chociaż nie wszystkie. Mebelki dla stołówek są właśnie w produkcji. Nie wiadomo też, jaki będzie wystrój klubu. Dariusz Pakoc dopracowuje jeszcze ostateczny kształt projektu. Pomieszczenie przeznaczone na klub usytuowane jest frontowo i widokowo — od ulicy. Musi więc przyciągać wzrok, będzie wizytówką Domu.

Na parterze znajdują się pokoiki zarządców okręgu i oddziału ZNP oraz sala konferencyjna. W tej części będzie się mieścił również oddział doskonalenia nauczycieli oraz miejmy nadzieję, bo to jeszcze nie dopowiedziane — kasa zapomogowo-pożyczkowa. Wszystko razem, by ludzie nie musieli biegać po mieście, lecz mogli różne sprawy załatwić za jednym zamachem.

Powstał obiekt o ogólnej kubaturze 248 m sześć i powierzchni użytkowej 3213 m kw. Dom Nauczyciela o wysokim standardzie, wielofunkcyjny, nowoczesny — choć jak wspominałam — nie do końca jeszcze wyposażony. Jako że bardzo lubimy zaglądać do portfeli, zwłaszcza cudzych, dodać muszę, że ostateczny koszt budowy zamknął się kwotą ponad 130 mln złotych. Same składki nauczycielskie wyniosły z górą 4 miliony. Najhojniejsi, byli koledzy ze szkół gminnych w Raczkowie, Filipowie, Bakalarzewie, Zespole Szkół Zawodowych CZSP i Szkoły Podstawowej nr 9 w Suwałkach.

Pierwsi goście zapukają 3 stycznia. — Dom wkrótce zacznie żyć własnym życiem — mówi Andrzej Todorski. — Jak

Podczas uroczystości otwarcia Domu Nauczyciela ZNP w Suwałkach odznaczeni zostali: Jan Wiszniewski, zastępca dyrektora Wojewódzkiej Spółdzielni Budownictwa Wiejskiego, Edward Lachowski, inspektor nadzoru Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Robót Inwestycyjnych — Srebrnymi Krzyżami Zasługi; Waldemar Ciborowski i Jan Kimszal, robotnicy WSBW — Brązowymi Krzyżami Zasługi. Medal „Za zasługi dla województwa suwalskiego” wręczono Jerzemu Charnuszce, dyrektorowi WSBW i Aleksandrowi Daniłowiczowi, robotnikowi WSBW. Odznakę „Za zasługi dla oświaty” otrzymał Henryk Kudela, przewodniczący Społecznego Komitetu Budowy Domu. „Złota Odznaka ZNP” uhonorowani zostali: Kazimierz Jabłoński, wojewoda suwalski, Jerzy Charnuszko, Janusz Krzyżewski, Henryk Kudela, Andrzej Mickaniewski, Eugeniusz Ziotorzyński, Jarosław Zagiel.

to życie będzie wyglądać, to już zależy od nas samych. Był nam potrzebny, jak mieszkanie, komunikacja. Teraz, gdy już stoi, czas wypełnić go treścią. To jest nasz Dom. Bedzie służył ośmiu tysiącom członków ZNP na ziemi suwalskiej i wszystkim tym, którzy zechcą nas odwiedzić. Powstał w miejscu szczególnym. Tu w latach okupacji hitlerowskiej mieścił się budynek gestapo. Tu byli męczennicy i ginęli Polacy. Dobrze byłoby fakt ten upamiętnić okolicznościową tablicą na budynku. Im poświęconą. Ten apel z pewnością nie zostanie bez echa.

★

Co dziś można robić w Suwałkach wieczorem, w chwilach tzw. wolnych? Sklepy zamykane są wcześniej. Kin mało. Dom Kultury jeden, na nowym osiedlu Północ. W centrum raczej pustawo. Klub Nauczyciela ma świetną okazję wpasować się w istniejącą tu lukę. Stworzyć jakąś sensowną alternatywę dla nudy.

Działacze związkowi zamierzają do końca tej kadencji utworzyć w każdym oddziale ZNP kluby nauczycielskie. Mają je już Elk, Węgorzewo i Augustów. Ten suwalski spełniałby rolę inspiratora i koordynatora poczynających kulturalnych, turystycznych i oświatowych w województwie.

Pomysłów co do przyszłego kształtu klubu nie brakuje. Ale póki co, planują organizowanie kursów przygotowawczych do matur i na studia, językowych. Chcą ściągnąć do siebie wykładowców z ośrodków akademickich, zamiast uczniów wysyłać daleko na uczelnie. Zamierzają organizować uroczystości rodzinne dla pracowników oświaty, obsługę konferencji, wycieczek. Może nawet powołają agencję Logostouru, wszak to region typowo turystyczny. W klubowym barku serwować dania firmowe, tak, jak to robi cieszący się nieźłą renomą gdański „Belferek”. W Domu znajda też miejsce hobbisci wszelkiej maści. Już zgłosili się akwaryści, psychotronicy, brydzyści.

— Przyjmijmy i zrealizujemy każdą sensowną propozycję, byle była pożyteczna — mówi prezes Todorski. — Musimy być rentowni, zarabiać na siebie, ale nie wolno przy tym na moment zapomnieć, komu właściwie mamy służyć. To jest Dom Nauczycielski. W pełnym tego słowa znaczeniu...



Wdrapują się więc tu i tacy, którzy chcą... sprzedać „odkrytą” przez siebie planetę, ale nie uronią rąbka tajemnicy, póki nie zobaczą pieniędzy. Są tacy, którzy szukają tu potwierdzenia swych „teorii” o budowie Ziemi i Wszechświata. Bardzo częstymi gośćmi są, za przeproszeniem mówiąc, „gówniarze”. To ci, mówi pan Deselberger, którym do produkcji ich mikstus

KORESPONDENCJA Z ZSRR

HENRYKA WITALEWSKA

TRADYCJA TO RZECZ ŚWIĘTA

Któż z nas nie słyszał o gościnności Gruzinów, ich upodobaniu do biesiad oraz niezwykle kunszcie wznoszenia toastów? O ich towarzyskich talentach i słabości do mocniejszych trunków. O tym, że wiedzą, jak nikt inny, co znaczy radość życia...

Jak się mają te potoczne wyobrażenia o ludycznym usposobieniu mieszkańców dawnej Iberii i Kolchidy — do rzeczywistości? Jaką rolę odgrywa w ich dzisiejszym życiu tradycja?



PRZY GRUZIŃSKIM STOLE

Moje spotkanie z Gruzją zaczęło się wręcz symbolicznie, bo od chleba. Chleba, którym częstuje nas Dawid Mdiwani — tbiliski korespondent „Ucztielskoj Gazety”. Wiedząc, że samolot nasz przyleci do Tbilisi bardzo późno, i że o północy trudno będzie coś zjeść w restauracji, przyniósł na powitanie świeży, duży bochen chleba. Przyszliśmy z serem i egzotycznymi przyprawami, o kształcie okrągłego placka — określenie: bochen jest więc, rzecz jasna, umowne — wygląda niezwykle apetycznie. Jest pikantny i delikatny zarazem. Zwłaszcza z winem smakuje wybornie. Ale o tym przekonamy się nieco później. Tymczasem raczymy się herbatą. Przy ad hoc nakrytym stole w pokoju hotelu Adżuryja czwórka żurnalistów: Rosjanka, Mongoł, Gruzin i Polka. Kilka najbliższych dni spędzimy razem. I razem zasiądziemy przy jeszcze nie jednym stole.

Pierwszy obraz zanotowany w pamięci podczas jazdy z lotniska: obok silnie oświetlonych ruin twierdzy Narikała — ogromna postać kobiety trzymającej w jednej ręce czarę, w drugiej — miecz. To pomnik Matki Gruzji — wyjaśnia wiedzący wszystko o swym mieście i zakochany w nim od dawna Dawid Mdiwani. — Miecz symbolizuje walkę o wolność, czara — oczywiście, gościnność...

Cała historia i tradycja Gruzji, cała jej kultura wiąże się nierozdzielnie z tymi symbolami. Każda wizyta w szkole, każde kolejne spotkanie, każda rozmowa przekonują, że to wartości nadrzędne w życiu tego walczącego przez wieki o swą wolność i tożsamość, narodu. Narodu, którego dramatyczna i chlubna historia przypomina tak bardzo polski los i dzieje. Gościa znad Wisły interesuje więc szczególnie siła i żywotność tej tradycji, jej niezwykła aktualność.

— To właśnie przywiązanie do kultury i tradycji pozwoliło nam przetrwać. A było to piekielnie trudne, byliśmy przecież przez wieki jednym w tym regionie chrześcijańskim krajem (Gruzja przyjęła chrzest w IV wieku), ciągle więc na nas napadano — słyszę od swych rozmówców. Oni też zwracają moją uwagę na fakt, że to przede wszystkim z tradycji wywodzi się kultura ich dnia codziennego, kultura życia i bycia. W tym również kultura stołu, no i — rzecz jasna — stosunek do wszelkich mocniejszych trunków. Jakkolwiek towarzyszą one często mieszkańcom tej górskiej krainy, to przecież niosą ze sobą głównie radość, przyjaźń, dobry humor, a nie — zanik wszelkiej miary, a również podstawowych norm i zasad.

Wino to ważny motyw w gruzińskiej sztuce. Na obrazach Niko Pirosmaniszwili (zwanego też krócej: Pirosmani), jednego z najoryginalniejszych przedstawicieli malarstwa „naiwnego” w skali światowej, którego reprodukcje można podziwiać we wspaniałym albumie wydanym w ubiegłym roku przez oficynę „Sowiet-skiej Chudożnik” — winnice, chłopcy siedzący za stołem z czarkami i rogami w dłoni... Wiadomo przecież: przy winie najlepiej się gwarzy i rozprawia.

Siedźmy właśnie w pięknym, otoczonym imponującą pergolą domu Jekatieriny Ad-

łaszwili — nauczycielki języka rosyjskiego w Szkole Średniej nr 9 w Gori. Na miejscu honorowym kierownik oświaty w tym mieście, Miedea Abuaszwili. Właśnie ona prowadzi naszemu spotkaniu, wyglądająca jak przystojna, wyjątkowo sympatyczna. Za gości i ich rodziny. Za Polskę, darzoną przez Gruzinów dużą sympatią.

Pierwsze toasty na uroczystych spotkaniach spełnia się szampanem. Później pojawia się na stołach wino domowe, podawane w dużych dzbanach. Domowe, więc — naturalnie — najlepsze, sporządzone według dawnej, sprawdzonej w ciągu wieków receptury. Wygniatane nogami — by nie niszczyć pestek co niezwykle ważne — w dużych drewnianych kadziach, wykonanych ze specjalnego gatunku drewna (kadzie takie oglądaliśmy w skansenie w Tbilisi, gromadzącym zabytki starej architektury gruzińskiej oraz pamiątki kultury materialnej).

Jak twierdzą znawcy — nawet najlepszym winem wytwarzanym metodą przemysłową daleko do domowych. Wystarczy choćby porównać „Agune” — znane półwytrawne wino różowe, produkowane we wschodnich rejonach Gruzji z jasnych i czerwonych unikalnych gatunków winogron — z kosztowanym oto w Gori trunkiem...

Właśnie Miedea Abuaszwili wygłasza kolejny toast. Za przyszłość świata, za najmłodsze pokolenie, które jest jego nadzieją. Gdy wypowie słowa „alawerdi, Roza”, toast po prostu wywołana własnie koleżanka. Kontynuuje więc: za wychowanie i nauczycieli, za ideały, którym służą...

Wszystkie toasty wysłuchiwane są w ogromnym skupieniu, niektórym towarzyszą oklaski. Wznoszenie toastów to bez wątpienia clou towarzyskich i rodzinnych spotkań. Jest też na nich zawsze muzyka.

Oto jedna z pań zasiada przy pianinie. Pokój wypełnia się muzyką, później — także śpiewem. Są i narodowe tańce, w których muszą obowiązkowo uczestniczyć również goście.

Folklor: śpiew, muzyka, choreografia to ciągle niezwykle żywe tu wartości. Pulsujące, rytmiczne pieśni i tańce wojenne, oryginalne instrumenty: pandory, lutnie, trąby, rogi, harfy, a także katarynki, zwane tu wdzięcznie „szarmankami” — to nie tylko wspomniany z sentymentem przeszłość. To po prostu tańce i melodie wyrażające autentyczne uczucia, potrzeby i temperament Gruzinów. To niezwykle istotna część ich życia.

Już kilkuletni chłopcy zadziwiają choreograficznym kunsztem, o czym mogłam się przekonać niemal w każdej szkole. Wszędzie bowiem istnieją zespoły taneczne, muzyczne, wokalne. Poczucie rytmu Gruzini mają we krwi. Pelen werwy i animuszu tańce jeźdźców w wykonaniu ósmio- i dziesięcioletków musi porwać każdego gościa i przybysza z zewnątrz. Z kolei tańce dziewczęce urzekają liryzmem i poezją. Zwiewne, delikatne stroje, dziesiątki długich warkoczy, magiczna wymowa rąk...

Wielkie upodobanie Gruzinów do kró-

lestwa Terpsychory widoczne jest na każdym kroku. Oto przed Muzeum Lalek Dziecięcych (a zarazem galerią prac plastycznych najmłodszych) oryginalna rzeźba przedstawiająca krąg taneczny. A muzeum to, liczące sobie już 50 lat, gromadzi lalki z całego świata. Przeważają gruzińskie, ale są także francuskie, japońskie, włoskie. Małe damy grające z przejęciem na fortepianie lub harfie Arlekiny. Są tu również lalki polskie: lajkonik i para Krakowiaków.

Gdy oglądałam te wszystkie miniaturowe cuda, nie mogłam oprzeć się westchnieniu: gdyby tak nasze dzieci mogły otrzymać — na przykład na któregoś Mikołaja — kolekcję lalek z najróżniejszych krajów. Właściwie, dlaczego nie ma u nas takiego muzeum? Nie jest przecież zbyt trudne zorganizowanie odpowiedniego zbioru, a ile radości mógłby przynieść najmłodszym! I rzecz jasna, nie tylko im. Bo o pożytkach dla edukacji już nie wspomnę.

Wracajmy jednak do gościnnego domu Jekatieriny Adłaszwili. Na stole, przy którym toczy się nieustannie ożywiona rozmowa, egzotyczne przysmaki: ciemnogrnatowe kabaczki, przystrojone rubinowymi ziarnkami granatów, niewielkie cebule w towarzystwie naci pietruszki, włoskie orzechy w syropie, konfitura z róż... Wspaniałe patery, pełne gruszy, jabłek, fig, winogron... Najpierw jednak — konkretniejsze dania i przekąski: ryby, potrawy z kury (czichirtma — gruzińska zupa z kury, zaprawiana żółtkami wymieszanymi z szafranem — znana jest smakoszom w wielu krajach świata), najróżniejsze gatunki sosów, tak charakterystycznych dla tej kuchni. Przede wszystkim tkemeli — sos sporządzony z suszonych śliwek, czosnku i papryki, znakomity dodatek do drobiu ryb i szaszłyków. A szaszłyki podaje się tutaj nie na długich szpilkach, lecz po prostu jako odrębne niewielkie kawałki baraniny. Choć specjalnością gruzińskiej restauracji na Arbacie w Moskwie jest szaszłyk składający się z jednego ogromnego kawałka mięsa, któremu towarzyszą pieczone cebule i pomidory.

Niestrudzona Miedea Abuaszwili znów wznosi kielich i wygłasza kolejny toast. Czini to — jak większość jej ziomków — z upodobaniem i talentem.

Toasty wznosi się w tym górzystym kraju nieustająco, ale pije niewiele. Tu właśnie można się najlepiej przekonać, co znaczy w praktyce kultura picia. Gruzini, choć nie stroni od wina i mocniejszych trunków, nigdy się nie upija. Gdyby przekroczył miarę, sprzeniewierzyłby się tym samym tradycji. A jest ona dla Gruzina święta, stanowi nakaz moralny i normę. Skoro obyczaj nie aprobuje palenia przez kobiety papierosów, więc naturalnie, panie nie używają tytoniu. Wszystko to nie pozostaje, rzecz jasna, bez wpływu na postawy i zachowanie najmłodszego pokolenia. Nie istnieje tu w zasadzie takie zjawisko, jak palenie czy picie alkoholu wśród najmłodszych, nie ma też właściwie narkomanii. Niemal wszyscy nauczyciele z którymi się stykam — a także wiceminister oświaty w Gruzji Giwi Talakwabze — zgodnie podkreślają, że fakt, iż nie ma

tutaj poważniejszych problemów wychowawczych, że młodzież nie sięga ani po alkohol, ani po inne używki, należy w znacznej mierze wiązać właśnie z tradycją i obyczajem, z ich żywotnością i siłą.

Od Dawida Mdiwani dowiadujemy się, że gdy był studentem dziennikarstwa, jeździł bardzo często wraz z kolegami — po całej republice, by poznać jej najcenniejsze zabytki, by uczyć się ojczywej historii i tradycji nie tylko z książek. Jest więc teraz znakomitym przewodnikiem. Wiezie nas przede wszystkim do dawnej stolicy Gruzji, do Mcchety. Po drodze, w odległości 23 km od Tbilisi oglądaliśmy, usytuowany na najwyższym wzniesieniu, monastyr Dżwari. To znaczy ruiny wspaniałego niegdyś klasztoru, będącego zarazem — z konieczności geopolitycznych jak byśmy dziś powiedzieli — obronną twierdzą. Idealna sceneria dla tragedii Medeji — pomyślałam. Nieoskonięte, odkryte zewsząd góry — i niesłychanie silny wiatr. Symbol dramatycznych dziejów kraju potomków Prometeusza, nekanych przez tyle wieków przez najróżniejszych najeźdźców? Istotnie, żeby zrozumieć poetę — trzeba się udać do kraju poetów...

Leżąc w dolinie Mccheta to przede wszystkim unikalna cerkiew Świętej Chowieli, ukazująca najpełniej, jak wspaniałymi artystami byli mieszkańcy tej krainy, słynący od bardzo dawna — zwłaszcza od czasów panowania królowej Tamar, zwanych złotym wiekiem w dziejach Gruzji (przełom XII i XIII wieku) — z cyzelowanej rzeźby w metalu, rusznikarstwa i snycerstwa. Każde okno, każdy łuk, każdy fragment architektoniczny jest tu inny, niepowtarzalny. Ileż inwencji i wyobraźni musieli mieć ich twórcy!

O niepospolitych zdolnościach mieszkańców tej górzystej ziemi świadczą nie tylko zabytkowe cerkwie z VI czy XII wieku. W Tbilisi podziwiamy bardzo nowoczesne, a jednocześnie nawiązujące umiejętnie do starej architektury, budowle z ostatnich lat wtopione harmonijnie w urwiste skały nad brzegami Kury. Nagradzane na międzynarodowych konkursach — dzieła fantazji, odwagi i niesłychanego trudu.

Niestety nie mieliśmy tyle czasu, by poznać jak należy to, mające kilka różnych pejzaży, zadziwiające jakimś niespokojnym pięknem, miasto Roman Sanguszko (skazany na zesłanie za udział w powstaniu listopadowym, karnie wcielony do Korpusu Kaukaskiego) pisał w 1834 roku w liście do matki: „Tyflis to miasto zupełnie wschodnie: ludność różnorodna o uderzającej piękności; konie piękne, choć małe, białe, z grzywą i ogonem pofarbowanym na czerwono, przypominają obrazy Verne-ta...”. W 1987 roku poza końmi mechanicznymi, żadnych innych w Tbilisi nie widziałam. Ale mieszkańcy tego grodu rzeczywiście wyróżniają się niepospolitą urodą. Dominują oczywiście Gruzini, ale mieszkają tu także — podobnie jak w całej republice — Ormianie, Azerbejdżanie, Osetyjczycy, Abchazi, Grecy... Jest tu również garstka Polaków (lub polskiego pochodzenia), potomków byłych skazańców.

Na lekcji języka rosyjskiego prowadzonej przez Leile Kaczarową w klasie siódmej Średniej Szkoły nr 53, uczniowie popisują się swymi wiadomościami o Choppinie i Mickiewiczu. Dawid Mdiwani zwraca moją uwagę na ulicę, noszącą imię autora „Pana Tadeusza” (przy której właśnie mieszka) oraz na kościół katolicki, zwany przez Tbilisńczyków: polskim, w którym odbywają się nabożeństwa w naszym języku. Ale o Dagny Przybyszewskiej, spoczywającej na jednym z miejscowych cmentarzy (Kukajskie Kładbiszcze), nasz znakomity cicerone nie słyszał.

★

— Jurand Spychowski... Spyszko? Czy tak? — pyta siedząca obok mnie Miedea Abuaszwili, pozostająca od dawna pod urokiem Sienkiewiczowskich bohaterów. Gdy wspólnie wyliczyliśmy najważniejsze postaci „Krzyżaków”, bierze w dłoń swój kielich i niebawem słyszymy kolejne: alawerdi...

Jekatierina Adłaszwili, w której domu jesteśmy tak serdecznie goszczeni, na pożegnanie obdarowuje mnie albumem zawierającym sto różnych portretów Szoty Rustawego — gruzińskiego Homera, autora narodowej epiki „Witeż w tygrysiej skórze”. Był nie zapomniany o tym spotkaniu. Był lepiej zrozumiały, w czym moc i siła tradycji i kultury tego kaukaskiego kraju.

„Tbil” — po gruzińsku oznacza: gorący; mało kto u nas wie, że stolica Gruzji to również znany od dawna kurort, słynący z gorących źródeł siarkowych. Czy jednak rzeczywiście tylko z owymi źródłami należy wiązać pochodzenie nazwy tego niezwykłego miasta?

Na ilustracji Szota Rustaweli — gruziński Homer, autor narodowej epiki „Witeż w tygrysiej skórze”.



SZKOŁĘ SWĄ WIDZĘ OGROMNĄ...

CD ZE STR 1

— ciągle jesteśmy pod kreską. Te 300 budynków, wzniesionych wspólnie z kiesy państwowej i społecznej — zaledwie pozwała, by „wchłonąć” roczniki wyżu, ale nie poprawia tego, co już jest. A jest tak, że wiele szkół pracuje na trzy zmiany. I nie jest dla nikogo pocieszeniem, że gdzieś daleko, w małej wiosce — klasy liczą po 6 uczniów.

Inwestycyjne „dno” lat osiemdziesiątych uderza nie tylko w oświatę, w innych także. Jednak szkolnictwo odczuwa to boleśniej niż inni. Budowlani stawiają mniej niż przed laty domów, nawet o 50 proc., ale świetnie się z tym czują i nieźle zarabiają. To, że kolejka oczekujących na mieszkanie wydłuża się do 15 lat — dotyczy tylko kolejki. Oświata natomiast swoim „klientom” nie może powiedzieć, że miejsce dla nich w szkole nie ma. Musi przyjąć wszystkich. Więc upycha się młodzież w ciasnych klasach, zamienia świetlice na izby lekcyjne i pogarsza warunki pracy. I obrywa przy tym porządnie od rodziców.

Mówi się, że oświata nie ma szczęścia, a przejawem tego są choćby zmiany ministrów, zbyt częste, by zdążyli oni coś zrobić i ponieść za to pełną odpowiedzialność. Zmiany zbyt częste wpływają destabilizująco na pracę szkół i nauczycieli, niestabilność jest bowiem wrogiem wychowania.

Nie ma też oświata szczęścia do reform. Nie dość, że z kilku powodów, nie tylko ekonomicznych, trzeba się było wycofać z reformy strukturalnej (a może to dobrze?), to w dodatku reforma programowa, konieczna przecież, odbywa się w warunkach nie gwarantujących sukcesu. Badania wyników nauczania w szkołach podstawowych ujawniły, że w ostatnich latach obniżyły się one znacznie. W klasach I-III dzieci mają ogromne trudności z czytaniem ze zrozumieniem, pisanie, mówienie. Ale tak jakś się złożyło, że na sygnał o tym regresie (badania w skrócie opublikowane w „Głosie”) — nikt nie zareagował, jakby nic się nie stało. Do szkół średnich też reforma wkraczała bez przygotowania, mimo że było sporo czasu, bo aż 8 lat. I znów stosuje się półśrodki.

Ten właśnie, kulejący od lat, sposób

wdrażania reformy, towarzyszący temu ciągle perturbacje — brak podręczników, programów, materiałów pomocniczych itp. — godzą w słuszną, przecież ideę zmian, bez których nie tylko szkoła nie może się tożwić. Właśnie z powodu różnych barier nie przygotowania elementarnych warunków — w powszechnym odczuciu reforma kolarzy się z czymś niedorzecznym, a nawet szkodliwym. Obraz osiągniętych wyników nauczania sprzyja takim ocenom. A przecież zmiany zawsze powinny być źródłem radości i satysfakcji, próbą ucieczki od rutyny i bytoby tak, gdyby były do końca przemysłane.

W dyskusjach o oświacie nader ostatnio krytycznych, pada najczęściej wniosek o należne miejsce oświaty w podziale dochodu narodowego. Mówi się o 7 proc. tego dochodu dla szkolnictwa. I jest, to wniosek jak najbardziej słuszny. Bez zasobniejszej kiesy nie da się zorganizować dobrej szkoły — dobrze kształcącej i wychowującej. Czy jednak wystarczy mieć pieniądze, aby szkolnictwo — stało się naprawdę dobre?

Odpowiedź na to pytanie musi być przecząca. Wszystko bowiem zależy od tego, jak te fundusze będą wykorzystane, z myślą o czym wydawane? Jeśli na przykład wszystkie ruchy w oświacie podporządkowane byłoby tezie — jak to miało miejsce dotychczas — że chcemy jedynie poprawić to, co jest w szkole (więc i to, co dobre, i to co złe) — nie pójdziemy do przodu. Inaczej mówiąc — jeśli zwiększane fundusze przeznaczy się wyłącznie na latanie dziur w obecnym systemie oświatowym szkoła w dalszym ciągu dobra nie będzie. Tyle, że trochę zamożniejsza.

Abym nie stał w miejscu — trzeba nie tylko więcej funduszy na oświatę i więcej społecznej troski o szkolnictwo, ale też inaczej niż dotychczas nim gospodarować. Aby tak było, potrzebna jest wizja tej innej szkoły, która odpowiadałaby współczesności (nie mówiąc o przyszłości) edukacji. Mam na myśli oczywiście najrozsądniejszą, niejako podstawową, jej zarys. Bez tej wizji pieniądze będą lokowane w to, co już jutro okaże się zbędne, zmurszałe, skompromitowane. Przykład te-

go mieliśmy budując wspaniałe tysiąclatki tam, gdzie po 2—3 latach zabrakło dzieci i wielomilionowe inwestycje stały się zbędne. A w wielu środowiskach szkoły pękały w szwach. Czy lokować pieniądze w zorganizowanie dobrego, wydolnego w praktyce systemu doskonalenia w układzie IKN-ODN, czy rozwijać rejonowy oświatowy — to też pytanie o przyszłość oraz zasadność gospodarowania pieniędzmi w oświacie. A pytań podobnych jest bez liku.

Chodzi więc o to, aby — polepszając warunki materialno-techniczne szkoły — jednocześnie zmierzać w kierunku zmian w modelu edukacji, stylu i metod (niestety, zrutyzowanych) pracy, stylu kierowania i zarządzania. I wówczas, kiedy powołany przez prezesa Rady Ministrów Komitet Ekspertów przegotuje raport i określi wizję edukacji, którą powinniśmy budować, szkoła będzie znacznie bliżej tej wizji, a niektóre jej elementy bardzo blisko. Trzeba więc dziś budować to, co ostatnie się za lat kilka, co nie będzie odrzucone w momencie przystąpienia do zmian, bardziej już generalnych.

Jak to przewidzieć? Oczywiście, nie wszystko przewidzieć można. Ale kilka spraw — tak, i choć w dalszym ciągu chory organizm niekać będą nie zaleczone choroby, jak niedobory kadrowe i lokalowe, obecność wyżu demograficznego i wiele innych — nie ma powodu do załamania rąk. Ten następny, chudy rok może okazać się dla oświaty bardziej pomyślny niż minione. Oczywiście, pod warunkiem, że nie staniami w miejscu. Podjęte przez nas reformy we wszystkich dziedzinach życia — w życiu społecznym i gospodarczym — dowodzą, iż szkoła także ma szansę. Być jej nie przegapić.

Reforma centrum to nie tylko zmniejszenie ministerstw i innych instytucji, to nie tylko walka z przerostem biurokracji. To — zmiana w sposobie zarządzania i kierowania. To — oddanie wielu kompetencji w dół, do rad narodowych.

Łoś oświaty, w jej materialnej i technicznej sferze — znajduje się w rękach rad narodowych, od nich zależeć będzie wiele.

Poważne kompetencje w zarządzaniu oświatą spłyną do kuratorów, inspektorów oświaty. Byłoby wskazane, aby także do szkół, do dyrektorów. Są to bowiem ludzie obciążeni dużą odpowiedzialnością, ale ciagle mogą niewiele. Trzeba więc, korzystając z rozwoju demokracji, przyznać dyrektorom dawną rangę i kompetencje. Także — radom pedagogicznym, aby mogły się stać rzeczywistym gospodarzem szkoły. Oczywiście, zwiększone kompetencje oznaczają większą odpowiedzialność. A tę należy egzekwować z większą niż dotychczas energią, nie przepuszczając nikomu, kto pragnie sprawować „razdusz”, ale nie odpowiadać za to osobiście.

Ten ruch w kierunku odblokowania niesamodzielności inspektorów, dyrektorów i rad pedagogicznych wywołał wiele inicjatyw, stworzył szanse poprawy jakości pracy mimo warunków, jakie istnieją. Uczyniłby z kadry kierowniczej szkół i nauczycieli nie posłusznych a częściej opornych wykonawców poleceń — lecz inicjatorów i wykonawców wielu rozwiązań — dobrych i wielkich. Byłby to już krok ku przyszłości, ponieważ zmieniałby to, co najważniejsze — postawy.

Albo to tylko jedna strona medalu. Druga — też łączy się nierozdzielnie z przebudową gospodarki i życia społecznego. Oznacza demokratyzowanie oświaty przez ściśle współdziałanie z lokalnym środowiskiem. Dziś — sformalizowane bez reszty, przez co środowisko, a szerzej biorąc — społeczeństwo — nie czuje się odpowiedzialne za edukację młodzieży. Społeczeństwo jedynie żąda dobrej edukacji. Formy kontaktów, szkoły ze środowiskiem, które funkcjonują dziś, jak komitety rodzicielskie, zakłady opiekuńcze itp. — nie zdają egzaminu, a w nowych warunkach nie zda-

dza go tym bardziej. Szkoła jest dziś zbyt zasklepiona w sobie, zajęta wewnętrznyimi kłopotami, a bywa, że i odwrócona od środowiska. Zmęczona trudnościami — kieruje swoje zale do społeczeństwa, zaś ono odplaca jej tym samym, zarzucając szkole i nauczycielom brak odpowiedzialności.

Należałoby więc w miarę szybko, nie czekając na raport Komitetu Ekspertów, uczynić ją otwartą dla środowiska i wspólnie z nim działającą. Aby tak się stało, społeczność lokalna musi współdecydować i wspólnie odpowiadać za los szkoły. Jeśli społeczeństwo nie zostanie dopuszczane do wspólnych decyzji i działań — szkoła pozostanie na co dzień zamknięta i izolacja będzie się coraz bardziej — w warunkach reformy gospodarczej i demokratyzacji — pogłębiać. Pozostanie w roli Kopciuszka domagającego się wsparcia, będzie zarzucać społeczeństwo żadaniami (jak dziś), ono zaś zajęte swoimi sprawami, pozostanie na te żądania nieczułe, lub odpowie tym samym. Z przepiętą przyczyną, że dziś lokalna społeczność w sprawie swoich szkół niewiele ma do powiedzenia. Bo też najczęściej ich nie zna. Więc tylko żąda.

Proponuję, aby na wzór Bułgarii — powołać w każdym środowisku — w województwie, mieście i gminie — Społeczne Rady Oświaty. Mieściłyby w sobie zarówno nauczycieli, jak i mieszkańców (więcej nie tylko rodziców uczniów) przedstawicieli zakładów pracy, urzędów, organizacji. Byłby to organ wspólnie z władzami programujący działalność oświaty na danym terenie, jak i współodpowiedzialny za to wszystko, co dzieje się w praktyce dydaktyczno-wychowawczej, w rodzinnym i środowisku. Powołanie NCPS dowodzi, że szkoła ma potencjalnych przyjaciół.

W Bułgarii zostało już to sprawdzzone. Szkoła zyskała naprawdę dużo, istnienie rad społecznych nie narusza w niczym autonomii nauczyciela, rady nie ingerują w jego pracę z młodzieżą. Jeśli szkoła ma trudności wychowawcze, omawia się je wspólnie i wspólnie rozwiązuje. Rada — odpowiedzialna za oświatę „wymusza” na miejscowej władzy terenowej fundusze dla szkół, bo rada doskonale zna warunki, więc nie godzi się łatwo na to, aby były one złe. Obecnie — o ich poprawę walczą nauczyciel, dyrektor — pojedynczo. I z reguły przegrywa, jeśli w gminie są inne ważne potrzeby. Jest inaczej, gdy rada narodowa musi liczyć się ze społecznym organem oświaty.

Rada miałaby też uprawnienia ingerowania w konflikty szkolne, aby im zapobiec. Przedmiotem jej troski byłoby zarówno warunki pracy jak i efekty.

W środowisku wiejskim miałaby także ogromny wpływ na budownictwo szkolne i mieszkanie dla nauczycieli. Bo rada, wspólnie z inspektorem planuje zatrudnienie i wie, czym grozi brak mieszkań. Spełniałaby też funkcje komitetu opiekuńczego, tyle że skorego do pomocy. Jeśli w radzie zasiadałby dyrektor fabryki czy PGR i banku, jakże łatwo będzie zorganizować praktykę uczniów i wszelką pomoc materialną.

Gdyby rok przyszły przyniósł tylko te dwie zmiany (oczywiście, nie licząc regulacji plac i zwiększonych funduszy na oświatę) — byłoby już o krok bliżej (dodaj nowoczesnej edukacji). Bo jaki by był model przyjąć, musi w nim być przede wszystkim miejsce na krok ku demokratyzacji życia szkoły, współpracy ze środowiskiem lokalnym, demokratyzacji, która pozwoli na większą samodzielność działania nauczyciela, młodzieży i społeczeństwa. Byłoby to wyświeślenie, w jakiej szkole nasza ciągle siedzi, domagając się od społeczeństwa lepszego traktowania, i może zniknąłby wreszcie podział na my (nauczyciele, władze szkolne) i wy (czyli społeczeństwo). W tym znaczeniu widzę szkołę naszą ogromną.

MARIA RYBARCZYK

CZYTELNICY MAJĄ GŁOS

JAK ODMŁODZIĆ WIEŚ?

Z zadowoleniem przyjąłem dyskusję na łamach „Głosu Nauczycielskiego” nad przyszłością szkoły polskiej. Interesująca mnie zwłaszcza przemiany zachodzące w szkole na wsi, gdyż jestem z nią związany od urodzenia, a jako nauczyciel — od 1945 roku. Od młodych rolników zależy wyżywienie naszych rodzin w przyszłości. Tymczasem mamy do czynienia z odpiwaniem zdolniejszej młodzieży wiejskiej do miast. Starzenie się ludności i ucieczka młodych są główną przyczyną braku szybkiego postępu w rolnictwie.

Ludzie zadecydują o sukcesach rolnictwa, o zdrowej i bezpiecznej żywności. Myślę o konieczności rozszerzenia upraw bio-

dynamicznych (ekologicznych). Poważne więc zadania stoją przed szkołą. Wszak rolnictwo potrzebuje ludzi nie mniej zdolnych i twórczych niż inne dziedziny gospodarki narodowej. Nie można wbrew woli zmusić nikogo do pracy na roli, ale można do niej wychować i zachęcić przez lepsze jej poznanie.

Przypomnę, że około 70 proc. szkół w Polsce stanowią placówki wiejskie i małomiejsce. I one właśnie mogą wpłynąć na jakość gospodarowania, na poziom pracy i życia wsi.

Co można i należy robić już dziś, by szkoła mogła sprostać wymaganiom nadchodzących czasów? Jak równocześnie zapobiec nadmiernemu przeciążeniu wychowanków? Moim zdaniem przede wszystkim należy obowiązkami szkolnym objąć dzieci sześciolatkę, klasy zerowe zamienić na pierwsze, a obecną ośmiolatkę przekształcić na 9 klasową szkołę. Ten dodatkowy rok pozwoli na wzbogacenie programów o tematykę rolniczą i gospodarczo-żywnościową. Więcej czasu będzie można przeznaczyć na działania praktyczne, wzbogacenie wiedzy o najnowsze osiągnięcia nauki i ich zastosowania. Można by bardziej uwzględ-

nić propozycje i inwencje samych uczniów oraz nauczycieli.

Jednym z najważniejszych celów wychowawczych szkoły musi być kształtowanie właściwego stosunku do ziemi rodzinnej i ojczystej przyrody, która może być źródłem radośnych doznań i bogatych przeżyć. Stopniowe zaznajamianie uczniów z prawami przyrody doprowadzi do zrozumienia konieczności zachowania równowagi w jej zasobach i zdania sobie sprawy, że ochrona powietrza, gleby i wody jest warunkiem bytu człowieka, świadczy o jego kulturze.

Dzieci sześciolatnie bez uszczerbku dla zdrowia mogą już zacząć się uczyć pracy fizycznej. Są one ciekawe i pragną kontaktów z przyrodą. Dostrzegają związki i zależności w świecie roślin i zwierząt. Chętnie pomagają przy sadzeniu drzew i krzewów — owocowych i ozdobnych. Pielęgnują je i zauważają, że dają one schronienie pożytecznym ptakom, które zimą trzeba dokarmiać. Kierując obserwacjami w kierunku żywej przyrody czy na działce, nie należy dzieci pozbawiać radości z ich własnych odkryć. W ten sposób same się uczą przyrody, rozumieją ją i szanują.

Choć program biologii jest jednakowy dla wszystkich szkół podstawowych, nie stoi na przeszkodzie, by już dziś zacząć go pełniej realizować w szkołach wiejskich. I to: w czasie zajęć pozalekcyjnych, prac społecznie użytecznych, podczas wycieczek do przodujących gospodarstw rolnych, przez poznanie nowych sposobów hodowli i upraw, stosowanie najnowszymi zdobyczy na polskach i w

pracowni biologicznej. Działka rolna szkolna może być również miejscem wspólnych eksperymentów agrotechnicznych nauczycieli, uczniów, agronomów i miejscowych rolników. Współpraca taka może dać uczniom możliwość wykazania się wiadomościami i umiejętnościami z wielu przedmiotów. Duże znaczenie może mieć poznanie nowoczesnych konstrukcji budynków gospodarczych z ich wyposażeniem i urządzeniami — z mechanizacją, która ułatwia i usprawnia tak ciężką pracę w gospodarstwie. A właśnie nowoczesne prowadzone gospodarstwo rolne, mądrze i celowo organizowana praca może pociągnąć młodych ludzi.

Byłoby dobrze, gdyby dyrektorzy zachęcali spółdzielnie uczniowskie w swoich szkołach do rozwijania działalności gospodarczej, na przykład w formie uprawy działki szkolnej czy hodowli królików. Kuratorzy i inspektorzy mogą wydać zalecenia mające na celu podniesienie rangi działki doświadczalnej w pracy szkół na wsi. Bezpośredni stały kontakt młodzieży z rolnikami, ze specjalistami, a także z byłymi wychowankami miejscowej szkoły, którzy po zdobyciu wykształcenia zawodowego prowadzą wzorowo gospodarstwa, jest niedoceniany, a ma on walory kształcące i wychowujące. Dzięki dobrze rozwiniętej współpracy szkoła może zyskać wartościowych instruktorów zajęć i sojuszników, a ziemia w niedalekiej przyszłości — lepszych gospodarzy.

LONGIN WASIELEWSKI
Szabla



„WINY” EKSPERTÓW

Metoda polemiczna, jaką zastosował Jerzy Tyszką w artykule „Wybór modelu” („Głos” 46/87) nie jest nowa i wśród dziennikarzy często określana mianem „ustawiania sobie rywala”. Autor ustawił sobie także i mnie w najwygodniejszej (oczywiście dla siebie) pozycji, dzięki czemu mógł już bez kłopotów zadawać ciosy tam, gdzie pragnął. Zapewne jednak nie wiedział, że cel to pozorny, a sam bije na oślep.

J. Tyszkę głęboko porusza i niepokoi informacja, że Komitet Ekspertów do spraw Edukacji Narodowej przychylił się dziś do idei powszechnej szkoły średniej, zaprezentowanej już niegdyś w raporcie o stanie oświaty w PRL (1973 r.). Traktuje ową opcję jako zamach na szkolenie zawodowe, zaprzeczenie postępu oraz wyraz zamyślenia do rozwiązań kosztownych i budzących społeczne opory. Zatem po kolei.

Zaakceptowanie idei powszechnej szkoły średniej nie oznacza jeszcze — czego J. Tyszką zdaje się nie dostrzegać — przyjęcia określonego wariantu rozwiązań strukturalnych (dziesięciolatka, jedenastolatka). Wszak wykształcenie średnie również dobrze można upowszechniać w łonie istniejących struktur szkolnych, poprzez stopniowe ograniczanie liczby trzyletnich szkół zawodowych i wprowadzanie na ich miejsce techników, liceów zawodowych, liceów ogólnokształcących. W Komitecie Ekspertów panuje niemal powszechna zgoda, że nie można pozwolić sobie na reformę strukturalną dopóty, dopóki nie zostaną stworzone odpowiednie ku temu warunki (baza materialna, kadry, programy, nakłady na oświatę, powszechna społeczna akceptacja). Nie ma więc obaw, że eksperci forsować będą model, który — z uwagi na koszty lub brak poparcia środowiska — nie miałby żadnych szans praktycznej realizacji.

Zadziwiająca jest uporczywe przeciwstawianie przez J. Tyszkę wykształcenia zawodowego — wykształceniu ogólnemu. Skoro w swych rozważaniach chętnie powołuje się na potrzeby społeczne i wyzwania rewolucji naukowo-technicznej, to przecież powinien wiedzieć, że droga ku specjalizacji i profesjonalizacji we współczesnym świecie wieść może już tylko przez możliwie szerokie wykształcenie ogólne. Mechanizacja, automatyzacja i komputeryzacja produkcji i usług, podobnie jak i szybkie zmiany technologii wytwarzania sprawiają, że dzisiejszy robotnik powinien mieć już większą wiedzę o otaczającym go świecie niż ta, którą nabyć może w trakcie nauki w „zawodówce”. Coraz częściej wymagać się od niego będzie postaw innowa-

cyjnych i twórczych, elastyczności i umiejętności adaptacyjnych. Nie wystarczy do tego na pewno choćby najlepsze wyuczenie do obsługi tej czy innej maszyny, choćby najdoskonalsze przekazanie umiejętności zawodowych.

Nowy model ogólnego kształcenia jest niezbędny, jeżeli poważnie myślimy o tym, by nie ugrzęznąć na stałe w „elitarnym” gronie krajów III Świata. Stąd też w pracach Komitetu Ekspertów silne akcentowanie potrzeby upowszechniania wykształcenia średniego (które wcale nie musi oznaczać tęsknoty za pokoleniem następców Platona) oraz zasady szerokiego profilowania kształcenia zawodowego w szkole (przyjmuje się, że do wykonywania czynności wąkospecjalistycznych powinien raczej przygotowywać już sam zakład pracy). Powtarzam jednak, że takie podejście nie przesądza ani o strukturze oświaty, ani o terminie ewentualnych reform globalnych.

Nie ma racji J. Tyszką pisząc, że „problem Salomona” (z czego tu nalać?) pojawia się tylko w przypadku rozwiązań kosztownych. W sytuacji powszechnego niedoinwestowania oświaty i ogromnych zaległości we wszystkich sferach jej funkcjonowania, musi on niechybnie pojawić się przy projektowaniu jakichkolwiek zmian. Z tą prostą okolicznością Komitet Ekspertów, opracowujący alternatywne warianty reform, powinien się liczyć, zaś oderwanie od realiów — które postuluje J. Tyszką — choć dla każdego kuszące (któż by nie chciał proponować śmiałych i daleko idących wizji?), mogłoby doprowadzić do tego, że nowy raport stałby się jedynie zbiorem „wisłuchów”. Stąd tak ważne staje się wyróżnienie zadań bieżących i dalszych oraz warunków wstępnych i reform, możliwych do realizacji dopiero po ich spełnieniu.

Wyda mi się całkowicie nie do przyjęcia pogardliwy stosunek autora do tych funkcji szkoły, które służącej mają rozwojowi osobowości, kształtowaniu zainteresowań, rozbudzaniu przeżyć emocjonalnych i estetycznych, formułowaniu postaw moralnych. J. Tyszką nazywa to demagogią, ja natomiast uważam, że ich nieobecność w życiu polskiej szkoły stanowi jedno ze źródeł powszechnego kryzysu wartości młodszego pokolenia.

Nie mam, rzecz jasna, nie przeciwko politechnizacji kształcenia, wychowaniu przez pracę itp. Konieczność realizowania przez przyszłą szkołę tych zasad jest zresztą wyraźnie i często podkreślana na forum Ko-

mitetu Ekspertów. Nie może to się jednak łączyć z równoczesnym negowaniem zadań szkoły w zakresie kształtowania osobowości uczniów, nie może odbywać się „za miast”, ale powinno „obok” tego tak ważnego procesu dydaktyczno-wychowawczego. Inaczej będą nam rosły kolejne pokolenia doskonałych tokarzy, dla których relaks oznacza tylko sen lub wódkę, perfekcyjnych frezowników stojących się szybko wiórnymi półanalfabetami, zdolnych techników nie rozumiejących, w jakich czasach i w jakim świecie żyją. Jeżeli J. Tyszką nie wie, co oznacza termin „pełnia człowieczeństwa”, to chętnie służę mu listą lektur, w których znajdzie odpowiedź.

Jest w tym artykule więcej uwag i ocen co najmniej dyskusyjnych, ale nie sposób ze wszystkimi polemizować. Zdarzają się także ewidentne błędy. Gtóż ewentualna reforma oświaty, której start planowany jest na pierwszą połowę lat 90-ych, zbiegnie się nie — jak sugeruje autor — z dotarciem do szkół wyżu demograficznego, a wręcz przeciwnie — obejme kolejne roczniki malejącego przyrostu naturalnego.

MĘDRZEC BEZ „CZUCIA I WIARY”

Artykuł Jerzego Tyszki „Wybór modelu” („Głos” nr 46) jest bałamutny. Autor w proponowanym przez siebie modelu oświaty łaskawie rezerwuje miejsce dla filologów i historyków, ale nieco dalej pisze: „wyzwania współczesności polegają głównie na ukierunkowaniu społeczeństwa na postęp naukowo-techniczny, a więc przyrodznawstwo i nauki ścisłe (...). A więc tylko tzw. nauki ścisłe i przyrodnicze są motorem wszelkiego postępu. One to — zdaniem J. Tyszki — pozwolą poznać fachowcowi — tokarzowi „podstawy naukowe swojej profesji i inne prawa natury w stopniu, pozwalającym zrozumieć otaczającą go rzeczywistość i dostosować się do jej współczesnej zmienności (...).”

Myśli to zaiste odkrywcze! Znani myśliciele, wręcz wielbicieli przyrody i rozum — że wymienię tytułem przykładu M. Kopernika, I. Newtona (na którego J. Tyszką też się powołuje), A. Einsteina, T. Kotarbińskiego — nie zapominali o potrzebie poznawania człowieka. Wszyscy oni swoją głęboką wiedzę przyrodniczą łączyli z filozofią i sztuką. Einstein grał na skrzypcach, a Kotarbiński pasjonował się muzyką i pisał wiersze.

Poeta jest także wybitny polski fizyk, prof. Grzegorz Białkowski i jego słowa pragnę J. Tyszkę zadedykować: „Myśle, że to, na czym opieram swoją działalność twórczą, jest przekonaniami, że nauka bez względu na to, jak wielkie byłyby jej suk-

Nie można też zgodzić się ze stwierdzeniem, że wprowadzenie powszechnej 10- czy 11-letniej szkoły musi wiązać się z wydłużeniem czasu trwania nauki. Trzeba bowiem pamiętać, że wówczas kolejny szczebel nauki uległby znacznemu skróceniu.

Według J. Tyszki Komitet Ekspertów jawi się jako zbiorowość oderwanych od życia teoretyków, miłośników Platona, „sztuki czystej” i filozofii, bezkrytycznych apologetów humanistyki, wrogów politechnizacji i maniaków arytmetycznych kombinacji reformy strukturalnej. Niestety, chyba zasmucę autora. Jest tam wielu fachowców od kształcenia zawodowego, którzy mają sporo pojęcia o tym, jak organizować tę sferę oświaty i starannie nad tym pracują. Nie ma więc obaw, że Komitet w wigorze tworzenia wielkich planów „zapomni” o kształceniu robotników, techników, specjalistów. W tej sytuacji polemiczną pasję J. Tyszki należy raczej traktować nie w kategoriach „argumentum ad rem”, a raczej „argumentum ad auditores”.

PIOTR SARZYŃSKI

cesy, jakie szerokie byłyby jej zastosowanie techniczne, nie może, prawdopodobnie nigdy nie będzie mogła, zaspokoić wszystkich potrzeb emocjonalnych i poznawczych człowieka (...). Sądzę (...), że nie będzie ona mogła odpowiedzieć na wiele pytań, które sobie człowiek w naturalny sposób zadaje, myśląc o życiu i śmierci. Poezja właśnie jest artystycznym wyrazem pewnych przekonań filozoficznych, religijnych i ogólnoswiatopoglądowych, których nauka zainspirować nie może. Niebagatelnym dowodem tego stwierdzenia jest choćby porażka kulturotwórcza neopozytywizmu.”

Łatwo zarzucać adwersarzom demagogię i pustosłowie, można udawać, że się nie wie, co to znaczy „pełny człowiek”. Trzeba jednak być świadomym tego, jaki ideał wychowawczy proponuje się w zamian. Czy nie będzie to mędrzec bez „czucia i wiary”?

Wbrew temu, co J. Tyszką powtarza za KTT uważam, że środowisko naturalne jest bardzo zdewastowane nie dlatego, iż za mało przyrodniczej wiedzy posiadali ci, którzy w radosny sposób dokonywali forsownej industrializacji. To technokraci właśnie głosili hasła „walki z przyrodą” i „ujarzmiania sił przyrody”. Zapominali nie szczęśliwie, że jako część tej przyrody nie powinni podejmować z nią walki. Z przyrodą właśnie człowiek musi żyć w symbiozie, w

CD NA STR. 15

CO PISZĄ INNI

OŚWIATA W REFORMIE GOSPODARCZEJ

Wokół aż huczy od dysput o reformie. Przymierzamy się wszyscy — i na górze, i na dole — do II etapu. Mierzy się i waży to, co ma zdecydować o przyszłości. I z grubsza już wiadomo, jak działać mają zakłady produkcyjne, jak powinna funkcjonować gospodarka. Całkowita cisza panuje tylko wokół szkoły i edukacji narodu. Nie mówi się w II etapie reformy gospodarczej o funkcji szkolnictwa, albo mówi się mało.

A przecież nie o politykę i politykowanie chodzi, lecz o przyszłość kraju, czyli o los każdego z nas.

Po tym pesymistycznym wstępie, zachęcam Czytelników do zapoznania się z treścią interesującego artykułu p. prof. Bogdana Suchodolskiego. Tytuł brzmi: „Edukacja — gospodarka — praca”, a drukuje go „Nauka Polska” (nr 3—4/87). Nie ma tego czasopisma w szkołach, tekst jest jednak na tyle ciekawy, że warto zjechać do bibliotek lub czytelnik, które tym dysponują.

Profesor Suchodolski pisze o edukacji i gospodarce, a ściślej — edukacji i pracy, czyli o problemach współczesnej cywilizacji, dotyczących nas wszystkich. Dwie sprawy budzą szczególnie niepokój Autora.

Pierwsza — dotyczy niedoceniań czynnika ludzkiego w pracach nad umacnianiem i rozwojem gospodarki. Zdaniem Profesora — liczne dyskusje i narady w tej sprawie, formułowane postulaty i decyzje, a wreszcie „Raport o realizacji reformy gospodarczej” z 1984 r. budzą krytyczne uwagi. W sposób jaskrawy ujawnia się to we wnioskach kierunkowych „Raportu”. Obejmuje on ponad sto różnych dyrektyw, ale ani jedna z nich nie dotyczy jakości i rozwoju ludzi. Dyrektywy określające dynamizację postępu naukowo-technicznego obywają się też bez wskazywania na rolę człowieka. Tymczasem postęp w gospodarce, o którym mówi się w „Raporcie”, zależy jest od jakości ludzi i ich rozwoju w warunkach powszechnej pracy.

„I właśnie dlatego — pisze prof. Suchodolski — w program organizacji tych warunków powinny być wbudowane czynni-

ki inspirujące i pobudzające rozwój tych właściwości ludzkich, które są pożądaną i konieczną podstawą przeprowadzanej reformy. (...) Niezbędne staje się w tym zakresie zarówno zwiększenie troski o instytucje życia kulturalnego, jak i zakładowe domy kultury, ostatnio tak często źle traktowane, jak i ustanowienie systemu permanentnej edukacji zawodowej różnych szczebli, a wreszcie stwarzanie warunków sprzyjających ruchom społecznym takim jak ruch racjonalizatorski, czy też aktywność Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury. (...)”

Jest oczywiście, że wszystkie te zadania odnoszą się do kadry już zatrudnionej. Ale z punktu widzenia potrzeb reformy gospodarczej ważna staje się i kadra młoda. (...) Niepokojąca jest obojętność, z jaką ekonomiści kształtujący i prowadzący reformę, odnoszą się do systemu edukacji, który będzie im dostarczał wykonawców. W licznych dyskusjach, zmierzających do ulepszenia i usprawnienia reformy gospodarczej, problematyka edukacyjna jest nieobecna. (...) Ta obojętność na rolę czynnika ludzkiego, a zwłaszcza pracy człowieka, manifestuje się niepokojąco także i w ostatnim „Raporcie”, przyjętym w maju 1986 roku przez Komisję Planowania, a w czerwcu — przez Radę Ministrów. Także w praktyce sprawy kształcenia nie tylko nie są przedmiotem zwiększonej troski, ale wręcz przeciwnie — odsuwane są na plan daleki lub wręcz pomijane. Los szkół przyzakładowych jest przykładem takiej niechęci do podejmowania działań aktualnie nierentownych.”

Cały zatem ciężar przygotowania ludzi do nowych ról i zadań, do pracy i życia — spoczywa na szkole. Czy jednak obecne szkolnictwo jest w stanie ciężar ten udźwignąć, to znaczy — przygotować młodych ludzi do pracy — przez pracę? Możliwa w to wątpić. I nie tylko dlatego, że oświata działa w trudnych warunkach materialnych. Nasz system szkolny jest po prostu nienowoczesny, izolujący się od życia. Wychowanie przez pracę realizowane jest w nim formalnie, czyli źle.

Prof. Suchodolski pisze o tym wprost: „Problematyka edukacji i pracy niemal zniknęła z pola widzenia i praktyki wychowawczej. (...) Postulat wychowania przez pracę i do pracy nie może być realizowany w szkole metodą werbalnego moralizowania i okolicznościowych imprez. (...) Chodzi o wychowanie przez rzeczywistość wszystkich powszednich dni szkolnych. (...) Kto się nie nauczył poważnej, odpowiedzialnej, solidnej pracy, niełatwo osiągnie taką umiejętność w czasach późniejszych. Aby jednak taki styl życia zapanował w szkole, niezbędne są głębokie reformy wychowawcze, które stworzą warunki dla aktywnego udziału młodzieży zarówno w procesie kształcenia intelektualnego, jak i w organizacji społecznego działania.”

Są także inne wady obecnego systemu: dualizm szkolny na średnim szczeblu kształcenia młodzieży Zdaniem Profesora — zachowujemy wciąż układ tradycyjny, w którym szkolnictwo ogólnokształcące różni się zasadniczo od zawodowego, a szkoła wyższa modelowana jest na zawodową. Jest to system przestarzały, konserwatywny. A jednocześnie koncepcja stworzenia na tym szczeblu szkoły jednolitej formułowana jest rzadko i lękliwie. Brak też badań w tej dziedzinie.

„W praktyce edukacyjnej — czytamy w artykule — niewiele jest troski o wykształcenie tych właściwości intelektualnych i moralnych, które powinien mieć człowiek nowoczesnej pracy, a polityka oświatowa niezadawalająco rozwiązuje organizacyjne problemy przygotowania kadr zawodowych przez system szkolnictwa średniego i wyższego. W tej sytuacji w środowisku pedagogicznym nie tylko nie powstaje grupa nacisku, która by potrafiła skutecznie forsować znaczenie czynnika ludzkiego w gospodarce narodowej, ale środowisko to nawet na własnym terenie, a więc w zakresie szkolnego przygotowania kadr zawodowych, nie wykazuje należytej troski o wychowanie przez pracę i wychowanie do pracy.”

Ten stan rzeczy — zdaniem prof. Suchodolskiego — powinien być naprawiony.

Należy podjąć studia nad problematyką organizacyjną i treściową permanentnej edukacji kadr pracujących w różnych sektorach gospodarki. Trzeba też podjąć studia nad optymalnym przygotowaniem kadry rozpoczynającej pracę zawodową.

Wszystko po to, aby już u podstaw, w procesie wychowywania młodzieży — zmienić generalnie nasz stosunek do pracy. Nigdy w przeszłości nie był on prawdziwy. Czasy kryzysu sprzyjały możliwościom łatwego, choć nieuczciwego, zarobku; praca uczciwa zdewaluowała się w opinii publicznej bardziej niż kiedykolwiek przedtem. „Równocześnie w wielu środowiskach nie praca lecz strajk stał się programem walki o przyszłość kraju. Ale już dziś zaczynamy rozumieć, jakie wyniki rozstrzygają o gospodarczym postępie i społecznym rozwoju. Wiemy, że wśród tych czynników praca zajmuje ważne miejsce” — kończy ten fragment rozważań prof. Suchodolski.

Czy potrafimy temu podołać? To znaczy — przygotować młodzież do aktywnego uczestnictwa w życiu i pracy, rozumianej nie abstrakcyjnie. Nie jest to łatwe, ponieważ „stosunek wychowawców do pracy jest ambiwalentny”: jest równocześnie akceptacją i odrzuceniem. Praca, którą wychowawca ceni, nie jest pracą, która ludzie wykonują w społeczeństwie, a praca rzeczywiście wykonywana nie wydaje się godna wychowawczego trudu.”

Trzeba więc poszukiwać złotego środka. A byłoby nim powiązanie pracy jako samorealizacji człowieka z pracą, jako działalnością produkcyjną, organizowaną zgodnie z wymaganiami techniki i określonymi celami społecznymi. Wychowawca nie może zatem akceptować pracy „mającej wyłącznie wymiar obiektywny, w którym człowiek byłby jedynie środkiem produkcji, ale też nie wolno nam odrywać się zbyt od pracy realnej i dbać wyłącznie o rozwój i interesy jednostki.”

MARIA POPOWICZ

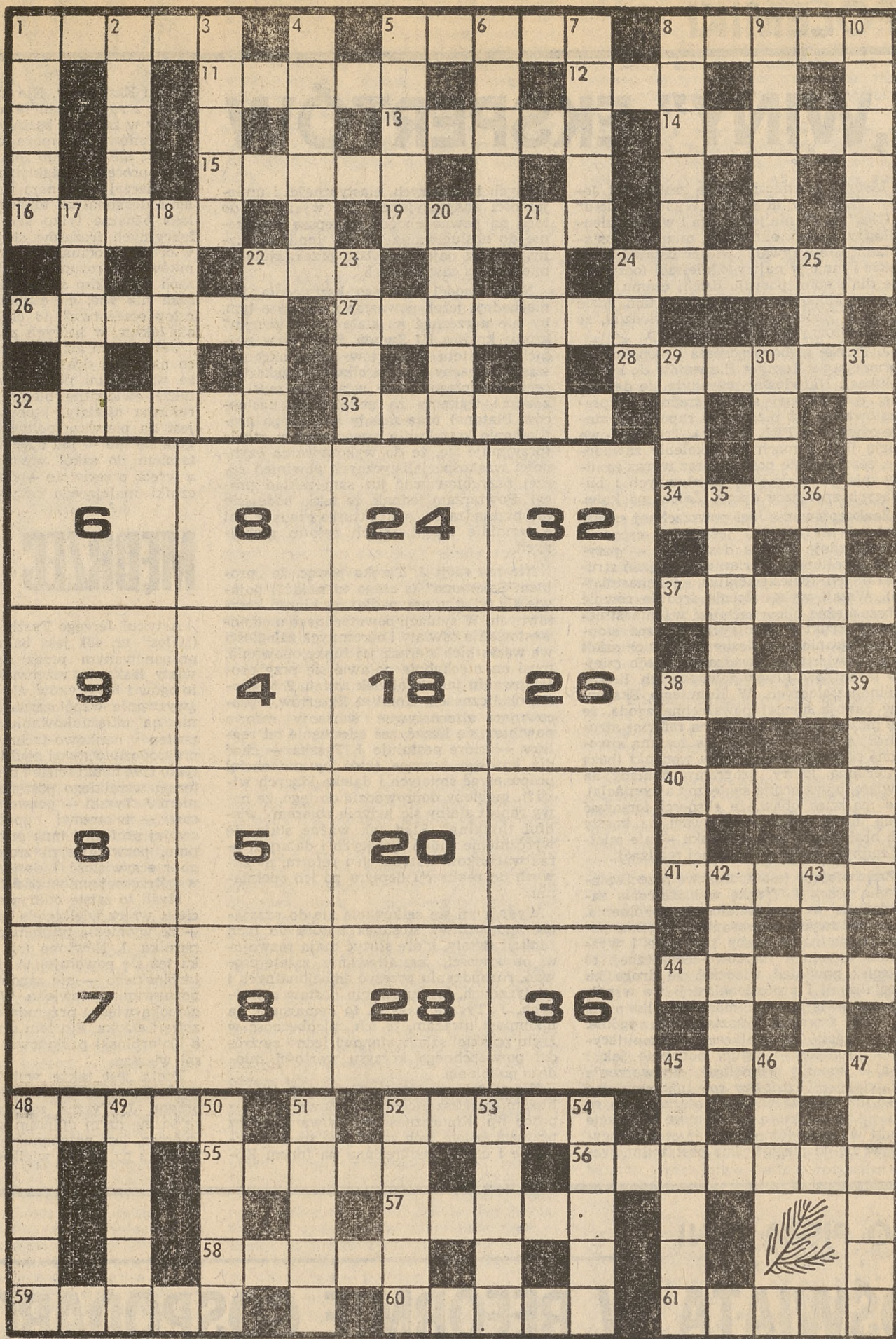


MĄDRA GŁOWA święteczna

KRZYŻÓWKA

POZIOMO: 1) jedno z największych miast świata, ośrodek nowoczesnego przemysłu elektronicznego, fotooptycznego, samochodowego i in., 5) przerwa w podróży, zwłaszcza konnej, 8) znane kąpielisko morskie na naszym wybrzeżu, 11) włócznia kozacka, 12) część siodła wygięta do góry, także uchwyt na koniu gimnastycznym, 13) to, co ma każda koparka, 14) wyspa, na której leży Świnoujście, 15) to, w co nie dajemy sobie dmuchać, 16) ojczyzna Mikołaja Gogola, 19) jadalna ryba morska z rodziny karpio-watych, 22) pled, 24) to, co najczęściej leży na szosie, 26) przestrzeń, po której hasał na rumaku sam Winnetou, 27) członek jednej z organizacji młodzieżowych, 28) punkt sprzedaży medykamentów, 32) rzeka w Kanadzie (także stolica tego kraju), 33) człowiek opanowany bez reszty przez jakąś pasję, nieprzytomny hobbista, 34) pospolity mebel, 37) jadalna ryba z rodziny lososiowatych, 38) centralne pismo jakiejś organizacji, 40) naczynie z klepek, zwykle o dwóch uchach, 41) Zerawszan albo Syr-daria, 44) atrybut w rękach diabła, 45) start samolotu, 48) garnu-szek z uszkiem, 52) maszyna do ugniatania powierzchni drogowej, 55) obszar lasu nadzorowanego przez leśniczego, 56) nierówny rytm pracy serca, 57) okręt podwodny naszej marynarki, słynny z akcji podczas drugiej wojny światowej, 58) legendarny władca Polski, 59) marionetka, pa-cynka, 60) sznur z pętlą, 61) siostra Balladyny.

PIONOWO: 1) ssak o nosie wydłużonym w krótką ru-chomą trąbę, żyje w tropikalnych lasach Ameryki Połud-niowej, 2) owocowy symbol wymienionych interesów, 3) drugie pod względem wielkości miasto Japonii, główny port tego kraju, 4) placek, sernik albo makowiec, 5) sie-dziba magnata, 6) to, do czego pędzą strażacy, 7) rozgłos, chwała, reputacja, 8) drapieżnik amerykański zwany rów-nież śmierzdzielcem, 9) jedno z państw Ameryki Środkowej (które można nosić także na głowie), 10) harmider, wrza-wa, hałas, 17) okrucieństwo, 18) wojłokowy, kolisty na-miot używany przez ludy pasterskie zamieszkujące Azję Środkową, także Mongolię, 20) tygodnik poświęcony spra-wom filmu i telewizji, 21) uczucie niepewności przed pu-blicznym występem, 22) rzeka w ZSRR, największy dopi-ływ Wołgi, 23) ordynus, grubianin (także powieść Elży Orzeszkowej), 24) pospolite psie imię, 25) lekarstwo, 29) autor nie tylko „Faraona”, 30) najwyższy czynny wulkan Europy (Sycylia), 31) ptak morski, 35) termin matema-tyczny (albo po prostu plon), 36) służa do palenia, 38) tradycyjna, wysoko ceniona nagroda przyznawana w USA twórcom filmowym, 39) zwierzę hodowane dla cennego futerka, 42) patrol przeczesujący teren, ubezpieczający przemarsz wojska, 43) nie krzyżyk, 45) błąd, 46) najwybit-niejszy nasz autor powieści fantastyczno-naukowych, 47) to, na czym płyną filisacy, 48) może być na wieży, może też być i u strzelby, 49) przyjaciel Lolka, 50) tkanina o po-wierzchni lekko pomarszczonej, 51) narcyz, 52) wierzeje, 53) cukierek na patyku, 54) żałobna tkanina.



ĆWICZENIE Z LOGIKI

W okienku naszej krzyżówki znajduje się jeszcze jedno zadanie: łamigłówka z logiki, kontrolująca zmysł prawidłowego wnioskowania wśród miłośników rozrywek umysłowych. A zatem popatrzcie uważnie na rysunek. Wiadomo, że wartości zamieszczone w piętnastu polach tabelki zostały zgrupowane nieprzypadkowo, lecz zgodnie z pewną zasadą, do której ujawnienia wiedzie droga przez analizę podanych przykładów. Jeśli zdołacie wykryć regułę rządzącą układem wartości w zadaniu, wówczas nie będziecie mieć kłopotu z wpisaniem właściwej liczby w puste pole tabelki.

Nagrody

Za prawidłowe rozwiązanie rozrywek umysłowych (Mądra Głowa nr 22) boni oszczędnościowe PKO po 1000 zł wylosowali: Andrzej Kozarzewski — Sokołowo, Stefania Niebieszczańska — Trzciel, Henryk Szeń — Lwówek Wielkopolski.

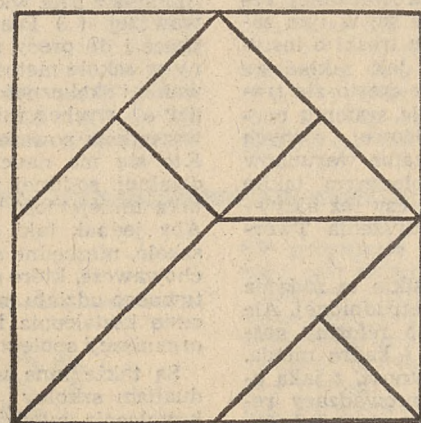
Natomiast nagrody książkowe wylosowali: Irena Wesola — Rakoniewice, Stanisława Kasprzak — Zadybie Stare, Zygfryd Wesolek — Bydgoszcz, Emilia Krzyżanowska — Szczecin, Maria Ostrowicz — Nowy Tomyśl.

Rozwiązania zadań (przynajmniej jednego ze świątecznej porcji) prosimy nadsyłać pod adresem: Redakcja „Głosu Nauczycielskiego”, ul. Spasowskiego 6/8, 00-380 Warszawa, w terminie do 14 dni, z dopiskiem na kopercie „Mądra Głowa świąteczna”.

Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania, rozlosujemy 6 bonów PKO po 1000 zł oraz 10 nagród książkowych.



12



PO PROSTU TANGRAM

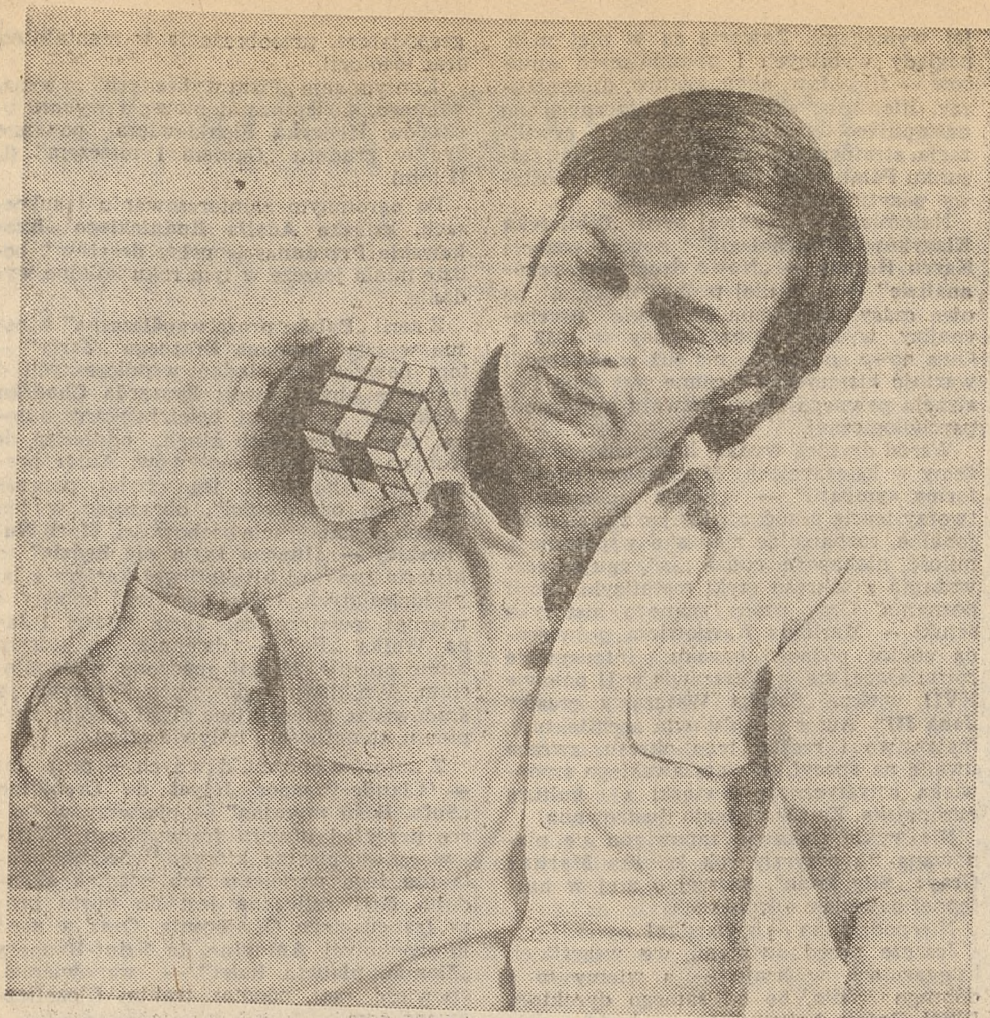
Tangram — bo tak nazywa się ta łamigłówka o charakterze geometrycznym — to kwadrat zbudowany z ośmiu części. Po uważnym wycięciu tychże elementów można z nich układać rozmaite figury, choćby takie jak te pokazane obok.

Podczas rozwiązywania zadań obowiązują warunki:

● Części tangramu powinny stykać się ze sobą bokami (lub wierzchołkami), nie mogą natomiast nakładać się na siebie nawet częściami powierzchni.

● Poszczególne części tangramu można odwracać na drugą stronę.





POMYSŁÓW MI NIE BRAK

MÓWI ERNŐ RUBIK

— Na początku chciałbym, aby zdementował Pan, lub potwierdził, następującą opinię: czy to prawda, że słynna kostka, to efekt głównie przypadku?

— Jeden z dziennikarzy po rozmowie ze mną rzeczywiście napisał coś takiego, ale ja z tą opinią raczej nie zgodziłbym się. Kiedy ktoś od dłuższego czasu pracuje nad jakimś problemem, próbuje go rozgryźć na wiele sposobów, to o efekcie takiej intelektualnej pracy trudno mówić w kategoriach przypadku. Naturalnie, z początku nie postrzegałem mojej kostki jako głównie zabawki, przyświecała mi nieco inna myśl: pokazać studentom rozmaite możliwości mieszania kolorów, barwnych plam. Miała to być swego rodzaju pomoc dydaktyczna rozwijająca wyobraźnię. Jednak niezależnie od tego, kostkę trzeba było w pierwszej chwili wymyśleć, zaprojektować, dopracować w szczegółach. A to na pewno nie ma nic wspólnego z przypadkiem.

— Pana kostka znana jest jednak jako właśnie zabawka.

— Wcale mnie to nie martwi. Przeciwnie, cieszę się, że dzięki niej, ci którzy się nią bawią, przeżywają intelektualną przygodę.

— A propos, czy twórca kostki potrafi ułożyć ją na wszystkie możliwe sposoby?

— Ma Pan, jak sądzę, na myśli porządkowanie ścian kostki? Bo jeśli idzie o różne kombinacje kolorów, to wątpię, czy ktokolwiek by to uczynił. Można to ro-

bic na tak wiele sposobów, że przekracza to nie tylko moje możliwości. Naturalnie, znam wiele sposobów porządkowania kolorów ścian kostki, każdy może to robić na swoją modłę. Ale na pewno nie są to wszystkie możliwości. Chyba zresztą dlatego moja kostka jest tak interesująca dla tych, którzy choć raz mieli ją w ręku.

— Jak zatem szybko Pan, twórca, układa kostkę?

— Nie czuję się zawodowcem w tym względzie. To jest tak, jak z każdym sportem: by osiągnąć naprawdę dobry rezultat, trzeba trenować codziennie. I to więcej niż kilka minut. Ja na takie treningi czasu nie mam. Poza tym... przy tej zabawie bardzo rzadko pa rze na zegarek.

— A gdy już Pan spojrzał, ileż to czasu miało?

— No cóż, mój najlepszy wynik to około minuty. Rekordziści, jak wiem, robią to w około 23 sekundy. Mogę im tylko pogratulować.

— Najszybciej potrafia uporać się z kostką... najmłodsi. Czy to nie dziwne?

— Powiedziałbym, że to bardzo charakterystyczne. Ale i zrozumiałe. Dzieci, ludzie młodzi, mają — moim zdaniem — większą wyobraźnię przestrzenną. Poza tym bardziej gętkie pałce.

— W porównaniu z moim „rekordem”, liczącym na kwadrans, Pańskie wyniki są wręcz rewelacyjne... Chcę jednak zapytać o co innego. Jest Pan dziś bodaj najbardziej znanym Węgrem w świecie,

mówi się o Panu, jako o człowieku niebywałego sukcesu. Jak Pan przyjmuje te aplauzy, jak się Pan czuje, jako najbardziej popularny Węgier?

— Wydaje mi się, że trzeba by w pierwszej chwili jakieś głosowanie, by dowiedzieć się, czy akurat ja jestem tym najbardziej znanym i popularnym Węgrem. Z tą popularnością bywa różnie. Gdy parę lat temu byłem w Polsce, moja kostka miała u was ogromne powodzenie. Dzięki niej i ja stałem się w waszym kraju znany. Jest bowiem naturalną rzeczą, że ludzie interesowali się nie tylko kostką, ale i tym, który ją wymyślił. A jak się w tym wszystkim czuje? No cóż, tak samo jak wszyscy inni, którzy kiedykolwiek znaleźli się w takiej sytuacji. Nie neguję, że to bardzo przyjemne uczucie. Oczywiście popularność ma swoje lepsze i gorsze strony, ale zawsze decydują te pierwsze. Wszyscy ludzie uprawiający jakąkolwiek twórczość są głęboko przekonani, że to co robią, jest dobre i słuszne. Gdy zatem efekt ich pracy budzi u innych pozytywne odczucia, a oni sami stają się popularni — jest to niejako potwierdzenie przekonania o słuszności obranej drogi. To jest w tej popularności najważniejsze.

— Był Pan nauczycielem akademickim, ciekaw jestem, czy nadal Pan się czuje pedagogiem, czy utrzymuje kontakty z uczelnią?

— Grami zacząłem zajmować się już w 1974 roku, wtedy to wymarzyłem sobie tę moją kostkę. Ale bardzo długo nie miała ona powodzenia. Bardzo dużo czasu i energii musiałem poświęcić by się z nią „przebić”. Gdy natomiast zaczęła już być popularna, nie tylko zresztą na Węgrzech, trzeba było dużo podróżować i nie tylko przyjmować gratulacje, ale często tłumaczyć... jak to działa. Wtedy po prostu zaczęło mi brakować czasu na pracę w uczelni. Dość długo próbowałem pogodzić jedno z drugim, ale przynamn szczerze — jakoś mi to nie wychodziło. Kontakty ze szkołą oczywiście mam nadal, ale dziś są one raczej luźne.

— Jak koledzy przyjmowali wówczas Pańską pracę i późniejszy sukces? Zazdrościli?

— Nie, nigdy nie odczułem zazdrości z ich strony. Zresztą wiedzieli o moich kłopotach ze znalezieniem sponsora dla kostki. Mam nawet wrażenie, iż byli zadowoleni, że z tej samej szkoły wywodzi się ktoś, komu się powiodło. Proszę uwierzyć, ja do dziś żałuję, że nie mogę już brać udziału w życiu uczelni, prowadzić zajęć ze studentami.

— Od wymyślenia kostki minęło już sporo czasu. Proszę mi powiedzieć, czy nie czuje się Pan czasem jak „człowiek jednego wynalazku”?

— I tak i nie. Tak, bo kostka jest jak dotąd moim najbardziej znanym w świecie dziełem. Nie, bo mam na swoim koncie także inne gry i zabawki. Były na przykład różne, nie mniej popularne wersje kostki, przypominę choćby drugą zabawkę znaną i w Polsce — magicznego węża. Ostatnią moją grą, u was jeszcze mało znaną, są magiczne kwadraty. Zaczęliśmy ją produkować w ubiegłym roku. Mam podstawy sądzić, że będzie to zabawka nie mniej popularna niż kostka.

— Gorąco tego żyć. A nad czym Pan teraz pracuje, z jakimi nowymi pomysłami Pan się „nosi”?

— Jeśli spodziewa się pan, że powiem co mnie obecnie absorbuje, to rozczaruję Pana. Mam sporo pomysłów, przecież gry to nie tylko moja praca ale i pasja. Ale które z tych pomysłów zmaterializują się i w jakiej formie, tego sam jeszcze do końca nie jestem pewien. Poza tym, czy spotkał pan twórcę, który by ujawniał swoje tajemnice?

— Gości mnie Pan w siedzibie Studia Rubika, instytucji szczególnego chyba rodzaju. Z jednej strony jej celem jest wspieranie innowatorów, którzy — jak niegdyś Pan — wymyślili „coś” nowego lecz mają kłopoty w samodzielnym przebijaniu się przez morze przeszkód, z drugiej zaś — zarabianie pieniędzy. Czy takie połączenie daje rezultaty?

— W dużym stopniu Studio jest efektem moich własnych „cierpień wynalazcy”. Wiele rzeczy musiałem robić sam, bez czyjegokolwiek wsparcia. Wiem, jak wiele trudów czeka każdego innowatora. To Studio jest właśnie po to, by inni mieli łatwiejszą drogę. Chodzi o to, by znaleźli tu wsparcie w zespole podobnych zapaleńców, organizatorów całego procesu od pomysłu do produkcji. Ale naturalnie by

się utrzymywać, Studio nie może być tylko instytucją filantropijną; by móc skutecznie pomagać innym — trzeba wprawdzie na to zarobić. Dlatego każdy pomysł musi być dokładnie przebadany także pod kątem ewentualnych zysków.

— A więc: stajnia wynalazców, innowatorów?

— W pewnym sensie tak, ale pracujemy tu także nad ideami i pomysłami tych wszystkich, którzy zechcą do nas przyjść ze swoimi pomysłami. A przyjść może dosłownie każdy. Pod warunkiem, że ma jakiś ciekawy pomysł, oryginalny wynalazek.

— Jesteście w stanie zająć się każdym „nawiedzonym”?

— Każdym na pewno nie, jest nas na to za mało. W Studio pracuje etatowo jedynie 20 osób, które dokonują selekcji pomysłów pod kątem ewentualnych możliwości ich wykorzystania i wdrożenia do produkcji. Oczywiście zajmujemy się nie tylko zabawkami i gram, ale także i poważniejszymi tematami. Opracowujemy na przykład programy komputerowe, zajmujemy się masami termoplastycznymi, sprzętem medycznym.

— Myślę, że ci, którzy przesiewają tu owe pomysły i idee, muszą być fachowcami najwyższej klasy. Kim są z zawodu?

— Nie tylko są fachowcami ale i organizatorami. Nikt nie jest omnibusem, nie zawsze potrafi się ocenić, co w danym pomysle jest rzeczywiście nowego. Wtedy po prostu trzeba umieć znaleźć takiego człowieka, który będzie to wiedział. A pracują u nas ludzie o bardzo różnym przygotowaniu. Są tu inżynierowie, plastycy, modelarze, prawnicy, specjaliści od marketingu.

— Jestem ciekaw, ile osób w ciągu czterech lat istnienia Studia przewinęło się przez nie?

— Nie prowadziliśmy nigdy takiej statystyki, ale sądzę, że nie pomyśle się mówiąc o co najmniej 300—400 osobach. Około 20—30 z nich przyniosło nam pomysły, które oceniliśmy jako warte zainteresowania i nad którymi obecnie pracujemy. Szczerze mówiąc napływa tak wiele pomysłów, że jest problemem zajęcie się każdym z nich. Z tej masy bardzo trudno jest wybrać najlepsze. A przecież my o nich nie na początku nie wiemy. Trzeba dopiero sprawdzić ich wartość.

— Ile zatem „trafionych” wynalazków opuściło już Studio?

— Ponieważ proces, o którym mówiłem, nie należy do szybkich, mało jest jeszcze tematów całkowicie ukończonych. Produktem Studio jest na przykład ta gra — magiczne kwadraty. Patrząc od strony finansowej, jest to na razie nasz największy sukces.

— Jaki jest status prawny Studia, czy to instytucja prywatna, Pańska?

— Jest to spółdzielnia założona przez 15 udziałowców. Jestem jednym z nich.

— Proszę wybaczyć, ale jakie są aktywa Studia?

— Na początku, poza funduszami założycieli, spółdzielnia wsparta została kredytem bankowym. Już go zresztą spłacił. Jeśli idzie o finanse, powiedziałbym, że dziś więcej zarabiamy niż wydajemy.

— Jest Pan bardzo dyskretny. Albo — nie lubi rozmów o pieniądzu.

— Jedno i drugie. Na pewno bardziej pasjonują mnie gry niż właśnie pieniądze. Tyle razy mnie zresztą o to pytano że w końcu stało się to mało ciekawe.

— Proszę mi w takim razie powiedzieć, jak wiele swego czasu poświęca Pan Studiu, pomysłom innym?

— Jestem tu codziennie, to jest zresztą obowiązek wynikający z faktu przesowania spółdzielni. Muszę być na miejscu, by wszystkiego dopilnować. Poza tym, jest to moje etatowe zatrudnienie.

— Pozwoli Pan jeszcze jedno, już na zakończenie, pytanie. Mówi się o Panu, że jest Pan bardzo nerwowy, a poza tym... niezbyt przepada za żurnalistami.

— Nikt nie lubi, gdy czegoś jest za dużo. Pan też, jak myślę, nie mógłby wciąż jeść czekolady, nawet jeśli pan ją bardzo lubi. Nie jest prawdą, że nie lubię dziennikarzy, ale nie ukrywam, że czasami bywam po prostu zmęczony zbyt częstymi tego typu kontaktami. Jest to cena popularności, o której już mówił. A czy jestem nerwowy? Chyba jednak nie. Przy pracy takiej jak moja, po prostu nie można być nerwowym.

— Dziękuję za rozmowę.
WOJCIECH SIERAKOWSKI

GRA
KTÓRA
PODBIŁA
ŚWIAT

Prasa zagraniczna pisze o nim tylko i wyłącznie w superlatywach. Nazywa go geniuszem z nad Dunaju, „ewenementem w skali całego obozu socjalistycznego”, pierwszym komunistycznym milionerem, najbogatszym... pedagogiem. O jego dziele pisano, na przykład w Anglii, że jest to węgierski sabotaż nad Tamizą, ta zabawka bowiem wręcz wyparła tradycyjną angielską herbatkę o siedemnastej. W Ameryce zajmowali się nią lekarze psychiatry, którym przychodziło leczyć niektórych fanów zabawki z istnego obłądka na jej punkcie. Z kolei w Chinach poddano ją swego czasu zmasowanej krytyce, a to z tego powodu, iż odrywała jakoby młodych ludzi od codziennych obowiązków w pracy i szkole.

Myślę, że wszyscy już wiedzą o kim i o czym tu mowa. Naturalnie o ERNŐ RUBIKU i jego magicznym szesćścianie.

Inżynier Ernő Rubik urodził się w roku 1945, w rodzinie, jakby to można było powiedzieć — technicznej. Jego ojciec, także Ernő, również był inżynierem. I rów-

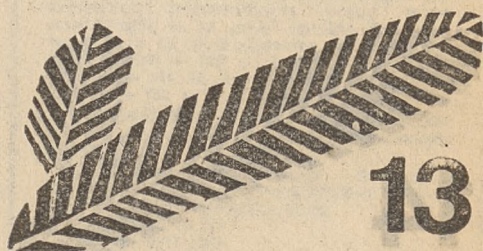
nie sławnym, na Węgrzech. Jego dziełem jest prototyp pierwszego węgierskiego sportowego samolotu wodnego. Za tę konstrukcję Rubik-senior otrzymał zresztą najwyższą węgierską nagrodę — im. Kossutha. Jako ciekawostkę warto dodać, że pracując nad swym samolotem odwiedzał w latach trzydziestych także Polskę. U nas bowiem dokonywał prób modelu samolotu w tunelu aerodynamicznym (na Węgrzech wówczas takiego urządzenia nie było).

Rubik-junior z początku odszedł od ojcowskiej tradycji. Najpierw bowiem rozpoczął naukę w... średniej szkole sztuk plastycznych, na kierunku rzeźbiarstwa. Ale w 1963 roku rozpoczął studia w Politechnice Budapeszteńskiej, na Wydziale Architektury. Po uzyskaniu dyplomu inżyniera, znów wrócił na „starą” ścieżkę: zaczął studiować w wyższej uczelni plastycznej. Jest więc posiadaczem dwóch dyplomów.

Po studiach wybrał pracę także w szkole plastycznej — w Wyższej Szkole Rze-

miotł Artystycznych w Budapeszcie. Uczył tworzenia form, geometrii przestrzennej, a także projektowania wnętrza i mebli. Z tych czasów został mu zapal do projektowania wnętrza i czyni to, dla rozrywki, do dziś. Ale tylko na prośbę przyjaciół. Pomysł kostki zrodził się w 1974 roku; po raz pierwszy Ernő Rubik zaprezentował ją swym studentom w rok później. Wtedy miała ona nieco inne rozmiary niż ta wszystkim dziś dobrze znana

CD NA STR. 15





KSIAŻKI ZAWSZE MODNE

POD CHOINKĘ

Nie fatalaszki, lakoce i błyskotki, choć ich obecność w świątecznych paczkach powoduje mocniejsze uderzenie serca. Prezentem na pewno zawsze modnym i szczególnie pożądanym jest książka — cichy i niepozorny, ale wierny przyjaciel. A co warto kupić? Odwiedziłam dwa warszawskie wydawnictwa: Państwowy Instytut Wydawniczy i Państwowe Wydawnictwo Naukowe, reprezentujące odmienne profile wydawnicze.

PWN znany jest głównie jako wydawca encyklopedii i słowników — wiecznych bestsellerów na naszym rynku księgarskim. Ale w ciągu 36 lat działalności PWN ukształtował swój profil uniwersalnego wydawnictwa naukowego, publikującego książki i czasopisma z dziedziny nauk humanistycznych, matematyczno-przyrodniczych oraz podstawowych nauk technicznych i rolniczych.

Kilka ciekawostek. Książka, która zyskała ogromną popularność czytelników, a na której wyjątkowo nie poznali się księgarze zamawiając niewiele egzemplarzy, była „Śladem wspomnień i dokumentów (1943—1948) Henryka Różańskiego”. Jest to wspomnienie świadka i uczestnika historycznych chwil wyzwolenia Polski spod okupacji hitlerowskiej i odbudowy państwa. Autor był oficerem I dywizji im. T. Kościuszki. Od lipca 1944 r. w PKWN, najpierw jako naczelnik wydziału przemysłowego, a następnie dyrektor Biura Ekonomicznego. W Tymczasowym Rządzie Jedności Narodowej pełnił funkcję wiceministra przemysłu, następnie był wiceprezesem Centralnego Urzędu Planowania. W zakres jego kompetencji wchodziły sprawy stosunków z Armią Czerwoną, rewindykacja mienia polskiego wywiezionego w czasie wojny, reparacja wojenna. 5000 nakład został wyczerpany, ale wydawnictwo obiecuje wznowienie w przyszłym roku. Polecam.

Uznany bestsellerem tego roku był „Pamiętnik adiutanta marszałka Piłsudskiego” Mariana Lepeckiego. 60 000 nakład również został wyczerpany, wznowienie w przyszłym roku, choć odwrotnie niż przy poprzedniej pozycji — sława przerosła samą książkę, a recenzenci określili ją jako „wspomnienia z pozycji psa”.

Major Lepecki — były legionista, podrobnik, pisarz — był w latach II Rzeczypospolitej pracownikiem gabinetu ministra spraw wojny, następnie MSZ, zaś od jesieni 1931 r. do maja 1935 adiutantem marszałka. Jego pamiętnik obejmuje prze-

de wszystkim schyłek życia Piłsudskiego, którego autor był entuzjastycznym zwolennikiem i którego legendę pragnął utrwalic. Książka miała ukazać się nakładem Wydawnictwa „Rój” jesienią 1939 r.

W grudniu znajdują Czytelnicy w księgarniach gorąco przez wydawcę polecaną „Historię nowożytnej kultury rosyjskiej” Ludwika Bazylowa (na rynku od półtora roku), w której autor przedstawia syntetyczne ujęcie dzieł nowożytnej kultury rosyjskiej od czasów Piotra I do Rewolucji Październikowej. Książka bogato ilustrowana. Dalej, pozostając w kregu zainteresowań historią, oddział krakowski PWN przygotował cykl „Kraków — wędrówki w przeszłość”, w którym zostają przedstawione zbiory Muzeum Historycznego m. Krakowa i wojewódzkiego archiwum Państwowego w Krakowie, głównie w zakresie ikonografii i archiwaliów. Całość cyklu zaplanowana na 12 tytułów, z których każdy poświęcony zostanie jednej dzielnicy bądź najbardziej charakterystycznym częściom miasta. W pierwszej książce „Kraków — wędrówki w przeszłość. Kazimierz”, pracy zbiorowej pod redakcją S. Wojaka o dziełnicy Krakowa. Wydanie albumowe (272 zdjęcia), z tekstem dwujęzycznym (polsko-angielskim), w przygotowaniu kolejna — poświęcona dzielnicy Kleparz.

Kolejna pozycja z pogrążenia historii i sztuki: „Janiny Wiercińskiej — „Sztuka i książka”. Praca poświęcona dziejom ilustratorstwa polskich książek w XIX i XX w. Autorka omawia m.in. polską grafikę ilustracyjną w świetle badań, dawną książkę obrazkową dla dzieci, ilustracje do wybranych tekstów, podstawowe pojęcia dotyczące ilustracji książkowych — funkcji, roli i kryteriów artystycznych dawniej i obecnie.

W grudniu powinny trafić do księgarń także pierwsze wydania: B. Szyndlera „Pojedynki” w serii „Logos” — popularny zarys historii pojedynków w czterech częściach (pojedynki w dawnych wiekach, w Polsce, sławne i nieznane, ogólne zasady postępowania honorowego). W książce wykorzystano pamiętniki m.in. G. Casanowy, J. Paska, L. Radziwiłła, H. Rzewuskiego, ks. de Lauzan. — Dla znudzonych małżeństw także z serii „Logos” — M.R. Hinchliffe, D. Hopper, E.J. Robests „Melancholia małżeństwa”. Autorzy, pracujący na wydziale Zdrowia Psychicznego Uniwersytetu w Bristolu, mają wieloletnie doświadczenie w stosowaniu technik psychoterapeutycznych wśród małżeństw z depresjami. Przedstawiają małżeństwo jako system interakcji między dwoma indywidualnościami a depresję, jako zachwianie tego systemu.

W serii „Polska XIX i XX w.” pierwsze wydanie książki J. Jedlickiego: „Jakie wydanie książek Polacy potrzebują”. Autor porusza kapitalny w kulturze polskiej problem stosunku dziewiętnastowiecznej opinii publicznej do nowoczesnej cywilizacji przemysłowej oraz sposobów pogodzenia echa narodowych Polaków z tą cywilizacją i

jej wymogami. Zawarte są w niej m.in. poglądy wybitnych i pomniejszych autorów — filozofów, ekonomistów, dziennikarzy, literatów, działaczy politycznych na następujące tematy: narodowość i cywilizacja, strategia rozwoju gospodarczego, stosunku Polaków do kultury Zachodu, postawy pozytywistyczne, romantyczne itp.

Natomiast w ciekawej serii „Biblioteka Klasyków Psychologii” nowa pozycja Karen Horney — „Nowe drogi w psychoanalizie” — a w niej próba nowego, na owe czasy, spojrzenia na teorię psychoanalizy, wydana przez Horney w 1939 r. Owe nowe spojrzenie ma już w tej chwili wartość historyczną i cenne jest jako ilustracja pewnego etapu rozwoju myśli neopsychologicznej.

Wśród innych wydań, które znaleźć możemy w księgarniach: M. Scheler „Istota i formy sympatii” — wybitny fenomenolog tworzy teorię uczuć, analizując życie emocjonalne, rozpatrując zjawisko współczucia, miłość, nienawiść, cudze „ja”, snując rozważania z zakresu etyki metafizyki, teorii poznania. Oraz praca znanego historyka sztuki — Mariusza Karpowicza poświęcona sztuce późnego baroku, intensywnie rozwijającej się w Warszawie w II połowie XVII wieku. „Sztuka Warszawy czasów Jana III”. Autor przedstawia architekturę, malarstwo i rzeźbę tego okresu, zwraca uwagę na specyfikę warszawskiego środowiska artystycznego, związki z kulturą europejską. Książka bogato ilustrowana.

Niezwykle ciekawie zapowiada się planowana na przyszły rok książka Martina Gray: „Sily życia”. Szerzej o niej w następnej gawędzie o książkach.

Niespodzianka na gwiazdkę!

Jeszcze przed świętami we wszystkich księgarniach w kraju — a wiemy to z dobrego źródła, bo od samego dyrektora PWN, Rafała Łukowskiego — będzie można kupić talony subskrypcyjne na trzy tomy „Słownika Języka Polskiego” (80 000 ha-seł, 3300 stron, oprawa płócienna). Ostatni tom słownika ukazał się trzy lata temu i od tej pory wydawnictwo nie wznowiało druku. Wraz z talonem, w niektórych księgarniach będzie można kupić I tom słownika (2500 zł) na razie w nakładzie 20 lub 30 tys. egzemplarzy. Wydawnictwo obiecuje, że I tom zostanie wydany najpóźniej do końca I półrocza 1988 roku, a kolejne w odstępach rocznych. Za talon zapłacimy 2100 zł i jest to zaliczka na ostatni tom słownika. Kto jeszcze nie ma, niech nie przegapi!

★

Wyliczenie serii wydawniczych PIW zajmuje całą stronę, jest ich 49! Niemożliwe jest bliższe przedstawienie choćby jednej książki z każdej serii, zatem będzie to z konieczności wybór.

W grudniu ukaza się już oczekiwane „Dzieje wypraw krzyżowych” Stevena Runcimana w trzech tomach (Seria „Rodowody cywilizacji” nakład 30 tys. egz., 3500 zł). Wspaniała panorama postaci i wydarzeń. Książka opisuje historię powstania i trwania państw frankijskich na wschodzie oraz przyczyny, które najpierw zrodziły w XI w. zapal do krucjat a potem spowodowały jego wygaśnięcie. Tytuły poszczególnych tomów: „Pierwsza krucjata i założenie Królestwa Jerozolimskiego”, „Królestwo Jerozolimskie i frankijski Wschód, 1100—1187”, „Królestwo Akki i późniejsze krucjaty”. Także z tej serii Jeana Delumeau „Cywilizacja Odrodzenia” (nakład 30 tys. egz.) — szeroko zakrojona synteza, dająca obraz przemian, które zachodziły w Europie epoki renesansu i zdecydowały o tak znacznym wyprzedzeniu przez nią innych kontynentów. Podstawowe, zawarte w książce problemy to: kształtowanie się nowoczesnych państw, wielkie odkrycia geograficzne, kultura materialna, stosunki

gospodarcze, przeobrażenia w mentalności oraz ideologii.

Kontynuacja „Pism wybranych” ze znanego, siedemnastomowego wyboru utworów Henryka Sienkiewicza powinno być w grudniu „Ogniem i mieczem” (I, II tom).

Po ogromnym zainteresowaniu i sukcesach, książka Adolfa Rudnickiego „Krakowskie Przedmieście pełne deserów”, będzie miała jeszcze w tym roku kolejne wydanie.

Z serii „Polska proza współczesna” właśnie wyszły: Romana Bratnego „Zarty” — tom nowych opowiadań współczesnych o tematyce obyczajowej; Ryszarda Chodźko „Pokrzyk” — debiut beletrystyczny autora, pełen literackich aluzji, odniesień do różnych utworów i motywów. Autor prezentuje bohatera i jego świat poprzez „strumień osobowości”, obrazując w ten sposób dezintegrację osobowości. Marii Nurońskiej — „Innego życia nie będzie” to historia typowej błyskotliwej kariery z lat pięćdziesiątych, także opowieść kobiety o wiernej, trwającej całe życie miłości. I Jana Wolka „Po” — dziennik, w którym autor opisuje 24 dni spędzone w sanatorium. Wnikliwa i dowcipna obserwacja środowiska, interesujące myśli o bólu, cierpieniu, samotności i upływie czasu.

Z autorów obcych, dawnych — proza to: — Claude-Prosper Jolyot de Crebillon „Sofa. Baśń moralna” — pierwszy w Polsce przekład utworu francuskiego XVIII-wiecznego pisarza, którego twórczość miała dla jego współczesnych posmak skandalu. Dziś zaliczana jest do nurtu prozy francuskiego Oświecenia. Oraz w serii kieszonkowej Antonine de Saint-Exupery „Ziemia, planeta ludzi” — (wznawienie), opowieść, esej, poemat, traktat filozoficzny zarazem.

W „Klubie Interesującej Książki”: Fulvio Tomizza „Lepsze życie” — współczesnego pisarza włoskiego, który większość swych książek poświęcił problematyce Istrii — półwyspu należącego obecnie do Jugosławii. „Lepsze życie” — to widziane oczyma włoskiego zakrystiana dzieje parafii istryjskiej od początków naszego wieku do lat siedemdziesiątych. Na pewno z ogromnym zainteresowaniem spotkają się „Pamiętniki z czasów Wielkiej Rewolucji” Ludwika Filipa (seria „Biblioteka Pamiętników Polskich i Obcych”) — urodzonego w 1773 r. króla Francuzów. Obejmuje lata 1773—1793 — w nich dzieciństwo i lata młodzieńcze w burzliwym okresie Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

Bestsellerami tego roku w PIW były książki Uruberto Eco „Imię róży”. Akcja dzieje się w 1327 r., w klasztorze benedyktyńskim, oczywiście dzieła Pawła Jasienicy (2 tomy) i Koran. Dzieła Jasienicy jeszcze niedawno widziałam w księgarni wydawnictwa (ul. Foksal), pozostałe są do zdobycia tylko w bibliotekach. Z niecierpliwością czekamy na wznowienia!

Szukając książek dla rodziny i znajomych, możemy śmiało kupić swoim dzieciom kasety magnetofonowe firmy Tonpres, także udany prezent pod choinkę a wśród nich „A ja wolę moją mamę” — piosenki Majki Jeżowskiej, które niedawno prezentowałam w wydaniu płytowym. Dobre słowa, dobra muzyka, ponad trzy kwadranse dyskoteki dla dzieci za 450 zł. Monolog Macieja Damieckiego według książki Hanny Ożógowskiej „Chłopak na opak”, a w nim m.in. na str. 1: jaki ja jestem naprawdę, dobre postanowienie i na str. 2: lekcja o hienie, złota koronka — zatrzymajmy naszych milusińskich przy nagraniu na kolejne trzy kwadranse. Mimo ubogiej formy jest to, jak orzekły znane mi 9-latk, bardzo ciekawe! (450 zł, Tonpress).

LIDIA JASTRZĘBSKA



GRA, KTÓRA PODBIŁA ŚWIAT

CD ZE STR. 13

i służyła z początku jako... pomoc dydaktyczna.

Mało zresztą brakowało, by na tym się skończyło. W ciągu pierwszych lat od jej wymyślenia i wykonania pierwszych egzemplarzy, nikt — poza najbliższym kręgiem znajomych Rubika — nie wykazywał żywszego nią zainteresowania. Przeciwnie, prezentującego ją ewentualnym producentom autora odsyłano od Anna-sza do Kajfasza. Wzór kostki opatentowany został co prawda już w 1975 roku, ale poszukiwania chętnych do jej produkcji trwały dwa lata. Nie zainteresowała się nią żadna z wielkich węgierskich fabryk zabawek. Ryzyko podjęła dopiero niewielka wówczas spółdzielnia „Politechnika”, która pod koniec 1977 roku wypuściła na rynek pierwszą, próbną partię — 5 tys. sztuk.

Jednak i to jeszcze nie przyniosło sukcesu. Owszem, kostka zaczęła być znana, lecz nie „przekroczyła” granic Węgier. Jej światowa kariera rozpoczęła się na dobre dopiero w 1978 roku. I to też przez przypadek. Na odbywający się w Helsinkach zjazd matematyków zabrał ją delegat węgierski. Uczestnikom zjazdu przedstawił kostkę w... kuliach. Jako zabawną cie-

kawostkę. Gdy zjazdowicze-matematycy „zabrali się” do tej zabawki, okazało się, że daje ona niebotyczne wręcz możliwości kombinacji kolorów. Obliczyli, że można je zestawić na ponad 43 tryliony sposobów i żaden układ nie będzie się powtarzał. Ta liczba może oszołomić nie tylko matematyków. Niemniej im właśnie przypada chyba zasługa rozreklamowania tej nowej zabawki.

I tak ruszyła lawina „kostkowego szaleństwa”. Najpierw kostka zdobyła dwie nagrody na Węgrzech. Pierwszą podczas międzynarodowych targów, drugą — państwową. Potem okrzyknięta została zabawką roku w Wielkiej Brytanii (nawet dwukrotnie), Niemczech Zachodnich i USA. W sumie przyznano jej ten tytuł w ponad 20 krajach świata. I to już w trzecim roku od rozpoczęcia produkcji. W tym też zresztą czasie fabryki zabawek opuszczały ponad 40 mln sztuk tej gry, a o jej walorach i sposobach układania napisano 60 książek w 40 państwach. (W jednej z takich właśnie publikacji obliczono na przykład, iż aby „ulożyć” kostkę trzeba wykonać około 50—60 obrotów na co, teoretycznie, powinno wystarczyć około trzydziestu sekund. Matematyczny ów wywód bardzo szybko znalazł potwierdzenie w praktyce. Na światowych mistrzostwach w układaniu kostki, które odbyły się w Budapeszcie, najszybszy ich uczestnik uczy-

nił to w niespełna... 22,9 sekundy.) Rubiks Cube nobilitowano także w sensie... artystycznym. W nowojorskim Muzeum Sztuki Nowoczesnej kostkę wystawia się jako dzieło o szczególnych walorach artystycznych. Bardzo rzadko dzisiejszy twórca może dostąpić takiego zaszczytu.

Kostka, jak dotąd, jest bodaj najbardziej znanym dziełem inżyniera Ernő Rubika. Ma on zresztą do niej, jak sam twierdzi, bardzo ojcowski stosunek. Ale to nie jedyna bardzo popularna zabawka jego autorstwa. Z innych, tej samej lub podobnej rodziny, warto wymienić magicznego węża (jest on znany i u nas), mini-czarodzieja, czy ośmiopiętrową małą kostkę. Wiele jednak wskazuje, że kostkę i te pozostałe już wkrótce zaćmić może najnowsza łamigłówka Ernő Rubika — „magiczne kwadraty”. Tę grę, lub — jak kto woli — zabawkę, opatentowano już w 40 krajach, a produkowana jest także za Wielkim Murem. Wyłącznie prawa do sprzedaży „magicznych kwadratów” zakupił koncern „Matchbox”, który na samą tylko reklamę gry wyłożył już ponad 10 mln dolarów. Idea gry jest podobna do tej „kostkowej”. Jednak jeśli w kostce do uporządkowania jest tylko 26 elementów (które rozmieszczone są w 3 rzędach i na 6 płaszczyznach), to w nowej trzeba zrobić to samo, mając do czynienia z 54 elementami, które w dodatku rozmieszczone są inaczej. Daje to tak wiele możliwości, że — jak twierdzą ci, którzy mieli już ją w ręku — „wprost oszaleć można”.

Póki co, nie szukajcie w sklepach „magicznych kwadratów”. Nie znajdziecie ich ani u nas, ani na Węgrzech. Po raz pierw-

szy sprzedawano tę grę nad Dunajem w ubiegłym roku i to jedynie w czasie targów budapeszteńskich. Kolejki były gigantyczne. Jak na razie zabawkę można kupić tylko w dolarowej strefie świata. Ale i tak wcale nie jest to łatwe. Choć wyprodukowano w ciągu roku aż 15 mln sztuk, to popyt wciąż jest niezaspokojony. Gwoli ścisłości dodam, że od każdego egzemplarza właściciel patentu, Rubik Studio, ma jednego dolara czystego zysku.

No, a co porabia dziś sam Ernő Rubik? Zapytałem go o to podczas krótkiej wizyty w Studio, mającym siedzibę przy ulicy Hatarör, w starej części węgierskiej stolicy — Budzie. Choć nie miał zbyt wiele czasu, znalazł jednak go nieco, by porozmawiać z dziennikarzem z kraju, który — jak mówi — wspomina bardzo ciepło. Tak właśnie odbyło się to spotkanie z „komunistycznym milionerem”, człowiekiem, który zwykłą zabawką przebił się na pierwsze strony gazet świata.

WOJCIECH SIERAKOWSKI

TYGODNIK ODZNACZONY



KRZYŻEM
KOMANDORSKIM
ORDERU
ODRODZENIA
POLSKI



ZŁOTA
ODZNAKA
ZNP



MEDALEM
KOMISJI
EDUKACJI
NARODOWEJ



KRZYŻEM
ZA ZASŁUGI
DLA ZHP

Redaguje zespół: Halina Drachal (kierownik działu) Lidia Jastrzebska (zastępca sekretarza redakcji) Maria Kulińska (sekretarz redakcji) Teresa Kosińska (kierownik działu) Jerzy Krasnowski (kierownik działu) Barbara Kosińska (redaktor techniczny) Bożena Niedziółka-Szczyńska, Zbigniew Pawłowski (redaktor naczelny) Maria Rybarczyk (zastępca redaktora naczelnego) Witold Salanski, Wojciech Sierakowski, Henryk Witalewski (kierownik działu) Zdzisław Nowak, Jan Rocki (red. graficzny) Marek Słuchewski (fotoreporter) Kierownik administracyjny — Teresa Grochowska, korekta — Małgorzata Gościńska, Małgorzata Pośnik.

Adres redakcji: ul. Spasowskiego 6/8 00-389 Warszawa. Telefony: 26-10-11, 26-34-20, 27-66-30.

WARUNKI PRENUMERATY:

Instytucje, zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach. Instytucje, zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, w których nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli.

Prenumeratę indywidualną zamieszkał na wsi i w miejscowościach, w których nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Prenumeratę indywidualną w miastach — siedzibach oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” — opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-odbiorczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonują używając blankietu wpłaty na rachunek bankowy miejscowego oddziału „Prasa-Książka-Ruch”.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch” Centrala Kolportażu Prasy Wydawnictw ul. Towarowa 20 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153 201045 139 11. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji zakładów pracy.

Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę:

— do 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz na cały rok następny

— do 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Koszty prenumeraty krajowej na 1988 rok: kwartalnie — 195 zł, półrocznie — 399 zł, rocznie — 780 zł.

Koszty prenumeraty krajowej na 1988 rok: kwartalnie — 325 zł, półrocznie — 650 zł, rocznie — 1300 zł.

Tekstów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo ich skracania i opatrywania tytułami. Reklamy i ogłoszenia przyjmuje oraz informację udziela Biuro Ogłoszeń i Reklamy Wydawnictwa Współczesnego 00-190 Warszawa, ul. Wiejska 12, telefon 28-24-11 wewn. 195 i 221. Ceny ogłoszeń: drobne — 140 zł za 1 wyraz lub znak o oddzielnym znaczeniu; dla ogłoszeń dotyczących poszukiwań pracy przez nauczycieli — 50 proc. niższej; dodatkowa opłata za pośrednictwo w przekazywaniu ofert — 200 zł; kredytowe: komunikaty — 300 zł, nekrologi — 250 zł, reklamy — 250 zł za 1 cm kw.

Należność za ogłoszenia prosimy wpłacać na konto: NBP: III O/M Warszawa 1036-5223.

Druk: Prasowe Zakłady Graficzne, RSW „Prasa-Książka-Ruch”, 02-017 Warszawa, ul. Nowogrodzka 84/88.

Nr indeksu 35 923
PI ISSN 0017 1263
Zam. 2563, K-68

JAK W MĘTNEJ WODZIE

W poprzednim numerze „Głosu” opublikowaliśmy odpowiedź Andrzeja Adamskiego, naczelnika gminy Wielka Nieszawka w woj. toruńskim, na mój artykuł „Jak w mętnej wodzie”, zamieszczony w numerze 30 z 20 września br. Nie ze wszystkimi stwierdzeniami zawartymi w piśmie naczelnika Adamskiego się zgadzam.

Prawdą jest, że przy szkole w Cierpicach gmina Wielka Nieszawka, zwniło się mieszkanie. Wystąpiło o nie kilku nauczycieli. W końcu na placu boju pozostały dwie nauczycielki: Elżbieta Pawlikowska i Alicja Łaska. Pawlikowska, wraz z mężem i dwojgiem malutkich dzieci, mieszka w piwnicy rozpoczętej budowy domu jednorodzinnego. Alicja Łaska z kolei w domu jednorodzinnym, będącym co prawda własnością teścia, ale teściowie mieszkają w innym domu.

Przydział podpisany przez naczelnika Adamskiego otrzymuje pani Łaska. Pawlikowska odwołuje się. Przyznaje, że jest posiadaczka gruntów ornych klasy VI, na których to rozpoczęli z mężem budowę domu. Ale nie może jej kontynuować, bowiem Bank Spółdzielczy odmówił kredytu (być może, że była to odmowa ustna). W swoich pismach do władz Pawlikowska deklaruje odstąpienie posiadanego gruntu państwu, jeśli tylko dostanie znośniejsze mieszkanie. Jej starania popierają nauczyciele w Cierpicach. Petycję w tej sprawie podpisuje dziewięć osób.

Prezes ogniska ZNP w Cierpicach, Andrzej Drodzowski, na zaproszenie komisji kuratorskiej bierze udział w lustracji warunków mieszkaniowych obu zainteresowanych nauczycielek. Po zapoznaniu się z nimi wnioskuje o przydział mieszkania

służbowego przy Szkole Podstawowej w Cierpicach Elżbiecie Pawlikowskiej ze względu na „zdecydowanie trudniejsze warunki mieszkaniowe...”. Podobnego zdania jest reszta komisji kuratorskiej. Powstał protokół, będący odbiciem ich bytności w terenie. Podczas sierpniowych rozmów w Urzędzie Wojewódzkim w Toruniu wizytatorzy kuratorscy podtrzymują swą ówczesną opinię — mieszkanie należy się Pawlikowskiej.

Tymczasem naczelnik Adamski podejmuje 6 lipca kolejną decyzję: „...po uwzględnieniu opinii Zarządu Ogniska ZNP w Cierpicach nie przydzielam ob. Elżbiecie Pawlikowskiej wnioskowanego mieszkania służbowego w Cierpicach” — pisze. Brzmi to dość dziwnie, skoro opinia ogniska była inna.

Pawlikowska znowu się odwołuje. Tym razem do Urzędu Wojewódzkiego. I 15 lipca otrzymuje z UW w Toruniu odpowiedź, w której uprzejmie ją informują, że... naczelnik gminy w Wielkiej Nieszawce, po ponownym rozpatrzeniu wniosków o przyznanie mieszkania usytuowanego przy szkole w Cierpicach, przyznał jej Alicji Łaskiej, zgodnie z... i tu następuje wyliczenie stosownych paragrafów.

Urząd wojewódzki elegancko poinformował ją o tym, o czym dobrze wiedziała, od czego się odwoływała. Pod koniec sierpnia byłam w Cierpicach, Nieszawce, Toruniu. Widziałam dom, w którym znajduje się sporne mieszkanie, odwiedziłam teściów A. Łaskiej i dom, w którym mieszkała. Jej samej istotnie nie zastałam. Artykuł „Jak w mętnej wodzie” powstał też po wielu rozmowach w toruńskim kuratorium, urzędzie wojewódzkim, Zarządzie Oddzia-

łu i Okręgu ZNP. Opisałam w nim sytuację, tak, jak ją zastałam tego konkretnego sierpniowego dnia. A wówczas wszystko i wszyscy przemawiali na korzyść pani Pawlikowskiej. Nawet naczelnik Adamski nie dostarczył wiarygodnych argumentów na poparcie swoich racji. Nie pokazał żadnych rzeczowych powodów uzasadniających tak szybkie działanie na korzyść tylko jednej zainteresowanej osoby.

Miałam wówczas i mam nadal wątpliwości co do zastosowanej przy okazji tej sprawy metody działania. Nie tylko zresztą urzędu gminnego. Także władz wojewódzkich. To właśnie metoda załatwienia odwołania nauczycielki od niekorzystnej dla niej decyzji urzędu budzi w całej tej historii największy sprzeciw.

Nie wdając się w zbędną polemikę, nie wnioskując w to, co kto komu podpowiadał i jakich kto ma doradców oraz czy poprzedni i obecny związek zawodowy nauczycieli w Cierpicach jest ładny, czy nie za bardzo — co stanowiło przedmiot dywagacji naczelnika Adamskiego — przypomnieć chcę na koniec jedynie to, co pisałam wówczas: „...jak to się właściwie stało, że nie zbadano sprawy przydziału mieszkania służbowego w Cierpicach w trybie odwoławczym, ponieważ jedyną odpowiedzią na odwołanie Pawlikowskiej z 9 lipca jest informacja o niepodjęciu procedury odwoławczej i pozostawieniu decyzji na tym samym szczeblu administracyjnym, od decyzji której właśnie się odwołała?”.

Ta mętna woda w tytule artykułu to nie przydział mieszkania tej czy innej pani, lecz zastosowana metoda załatwienia drażliwej sprawy. Z cenną, godną najwyższego uznania szybkością pracy urzędników nie ma ona nic wspólnego. To coś więcej niż, jak pan naczelnik skromnie określa: „drobne uchybienia natury proceduralno-formalnej”.

HALINA DRACHAL

i zainteresowań uczniów czy potrzeb społecznych? Jak uczniów aktywizować w procesie kształcenia? Jak wzajemnie sty-mulować rozwój gospodarki i oświaty?

Natomiast zagadnienia związane z treściami programowymi i modelem organizacyjnym szkolnictwa uważam za wtórne w stosunku do wymienionych. To, czego dzieci się będą uczyć i w jakich szkołach nauka się będzie odbywać, będzie już zależało od rozstrzygnięcia dylematów podstawowych. W przeciwnym wypadku wszelkie reformy oświatowe nie przyniosą korzyści ani państwu, ani jego obywatelom.

I na koniec, jako historyk, nie wyrażę się wzdąrdliwie o matematykach i przyrodnikach, jak to uczynił J. Tyska poszturchując polonistów. Jedni i drudzy są nam równie potrzebni i równie ważni.

JÓZEF BLASZKOWSKI
Lubań

OGŁOSZENIA DROBNE

Małżeństwo, mgr inż. mechanik i mgr matematyki, 8 i 6 lat stażu pedagogicznego, poszukuje pracy. Warunek: mieszkanie rodzinne. Oferty: Brusy, Bohaterów Westerplatte 1/51, 85-827 Bydgoszcz. 436

HALSZKA Żary skrytka 12. Rewelacyjne oferty matrymonialne, krajowe, zagraniczne. 427

SZTANDARDY wykonuje od 1952 r. wyspecjalizowana Pracownia „Haft Artystyczny”, mgr inż. Henryk Kledzik, ul. Kościuszk 76 m 4, 61-892 Poznań, tel. 52-02-14. 396

MĘDRZEC BEZ „CZUCIA I WIARY”

CD ZE STR. 11

przeciwnym wypadku sam sobie będzie szkodził. Dramat technokratów polega na tym, że jako tako znają przyrodę, ale mniej znają człowieka i jego z nią związki.

To niedostatek myślenia humanistycznego polityków i wielu uczonych sprawia, że świat siedzi na beczce prochu. Spośród znających tajniki wytwarzania broni jądrowej Albert Einstein był jednym z nielicznych, którzy podjęli walkę o zaprzestanie jej produkcji. Nie postąpiłby tak zapewne, gdyby nie był wielkim humanistą i moralistą zarazem.

Trzeba sobie jasno powiedzieć, że nie ma alternatywy, która brzmi: czy w kształceniu mają przeważać treści matematyczno-przyrodnicze czy też humanistyczne? Ważne są i jedno, i drugie. Człowiek powinien rozumieć i przyrodę, i siebie; powinien znać swoje miejsce w przyrodzie jak i w społeczeństwie. Inaczej zawsze będzie kaleką.

Gdy mówimy o modelu oświaty, to powinniśmy przede wszystkim podjąć dyskusję wokół problemów zasadniczych. Trzeba by odpowiedzieć na następujące pytania: kogo będziemy kształcić: ludzi oświeconych czy twórczych? Jak różnicować kształcenie — w zależności od zdolności

DYREKCJA PAŃSTWOWEJ SZKOŁY MUZYCZNEJ I i II stopnia w Zgorzelcu

ZATRUDNI NATYCHMIAST

nauczycieli o następujących specjalnościach:

- | | |
|-------------|-----------------------|
| ● akordeon | ● wychowanie muzyczne |
| ● skrzypce | ● IV wydział |
| ● fortepian | ● teoria i wydział |
| ● rytmika | ● klarnet |

Zapewniamy tymczasowe zakwaterowanie do momentu otrzymania mieszkania. Zgłoszenia prosimy kierować pod adresem PSM I i II st., 59-900 Zgorzelec, ul. Langiewicza 29, telefon 22-62. K-435

PAN NA WYSOKIM ZAMKU

W systemie poglądów i ocen Stanisława Lema znalazło się miejsce na szkołę i literaturę. Literaturę światową i polską, a gimnazjum dawne, lwowskie, przedwojenne. Taka średnia szkoła przywiązywała dużą wagę do kształcenia humanistycznego i wywarła zapewne swój wpływ (choć nie do końca wiadomo jaki) na umysłowość przyszłego pisarza. Poza tym Lem — gimnazjalista, Lem — trzynastolatek tworzył (i to na lekcjach) jedną z najobszerniejszych swoich powieści. Obeszła się ona co prawda bez zapisu, choć została po sobie liczne papierowe ślady. Później to wyjaśnię, a teraz pomówmy o samej macierzystej szkole późniejszego autora „Solaris”, o gimnazjum, które Stanisław Lem zdążył jeszcze ukończyć wiosną 1939 roku.

Opisał je w trochę już zapomnianej opowieści pod tytułem „Wysoki Zamek”. Książka ukazała się w 1961 roku, gdy jej autor był po czterdziestce i wydał już kilka dzieł. A więc na szkołę patrzył z odpowiedniej odległości czasowej i raczej jak na dzieje własnego ja niż na system kształcenia.

Niemniej szkoła ta wymagała, podobnie jak moja warszawska z tych samych lat, wiele pracy i pod tym względem była nieprzejeżdżana oraz surowa. Lem to przyznaje: „...zmuszano nas do wiedzy, broniliśmy się przed nią jak przed zarazą”. I chyba nie zawsze skutecznie.

Nauczycieli opisuje autor w sposób nienajbardziej indywidualności, mówi o znakomitej rutynie, daje do zrozumienia, że na ogół (bo nie zawsze) byli to dobrzy specjaliści, ale obchodzili go przede wszystkim style zachowania się tych osób.

Poznajemy więc w „Wysokim Zamku” raczej dziwaczne postępowanie niż rodzaje umysłowości pedagogów. Czytelnik zapamięta na pewno prawie indiańskie okrzyki drobnego wzrostem nauczyciela łaciny, dopadającego swoją ofiarę, co ukryła ściągawkę w Wergiliuszu. Pozostaną w naszej pamięci wymyślne kary i nagrody, jakimi obdzielał uczniów „narwany” matematyk, pozostanie w niej dzwoniąca aparatura do uczenia uczniów, bo coś takiego zainstalował w swoim gabinecie geograf. Za-

pamiętamy „samoobronę” uczniowskiej braci i cały ten „mikropejzaz pedagogicznej batalistyki”.

Nie ma więc we wspomnieniach Lema sentymentalnej lezki ani — z drugiej strony — potępienia czy niechęci do szkoły. Jest raczej zdziwienie, że nauczyciele wpiśnięci w pamięć uczniów na całe życie, i to z mocą absolutu. Ze wprost porażali wychowanków, raczej aurą Olimpu niż strachem. Nic w końcu złego nie robili, chyba przeciwnie...

Niektórych członków grona pedagogicznego wspomina Lem ciepło. Zwłaszcza polonistkę, panią Marię Lewicką, która doceniała jego długie i celne wypracowania. „Niestety nadużywałem brzydko mojej ustalonej pozycji, ponieważ prawie nie czyłem się, to znaczy z obowiązkowych lektur czytałem to, co mi się po prostu podobało, natomiast Szymonowicze czy Kasprówce nie mogli liczyć na moje laski (...). Korzystałem z tego, że mnie Lewicka nigdy sama nie wyrzucała, i przedstawiam zasmucony obraz człowieka, który choć zdał maturę, przecież nie ma o gramatyce zielonego prawie wyobrażenia”.

Lem nie chciał jednak skrzywdzić w tych wspomnieniach ani swojej polonistki, ani siebie. Dodaje więc, że pani Lewicka była nauczycielką prawdziwie nowoczesną, a on sam — bynajmniej nie tylko spryciarzem. „Skoro powyżej przyznałem się do brzydkich postępów, pragnę dla zrównoważenia obrazu dodać, że nie wszystko było mi na polskim obojętne”. Mamy nadzieję.

W sumie — rzadko czyta się wspomnienia gimnazjalne poddane tak chłodnej analizie myśliciela. Szkoły jest w nich akurat tyle, ile zajmowała ona miejsca w życiu chłopca. A więc sporo, ale nie za dużo.

Lekcje Stanisław Lem odrabiał pod okiem stalego korepetytora, od konwersacji z „Francuzką” wykreczał się jakoś i już przystępował do „pracy właściwej” — do wynalazków.

Za liche pieniądze (pobierał 50 groszy pensji tygodniowej!) kupował drut, klej, parafinę, śrubki, papier ścierny, czasem coś jeszcze dostawał od wuja, podobnie

jak ojciec lekarza lwowskiego. No i działał. „Technika paliła się we mnie gorącym, świętym płomieniem”. Pracował trochę jak młody Wokulski w piwnicy u Hopfery, tyle że z lepszym skutkiem. Gdy własny motor elektryczny Lema, budowany psim swędem i z łyde czego, ruszył wreszcie i „szedł utykając aż do zmięczenia”, brudny i spocony chłopiec obserwował swoje dzieło ze wzruszeniem. „Watt ani Stephenson nie mogli zaznać przeżyć bardziej intensywnych”.

W tym samym wieku Lem przeżył jeszcze bardzo wiele odkryć różnych dawno poznanych ładów, rysował też liczne projekty silników samochodowych bądź lotniczych, a nawet czegoś, co przypominało rakiety balistyczne. „Nie znaczy to, aby wynalazł VI przed Niemcami, po prostu sama zasada funkcjonowania była nieco zbliżona”.

W szkole przedziwny ten nastolatek nie chciał oczywiście tracić czasu na słuchanie „byle czego”. Udał, że pilnie notuje lekcje, otworzył własną kancelarię bytów fikcyjnych, jakie powoływał do życia w wyobraźni i w dokumentacji. Zajmował się mianowicie, i to z benedyktyńską dokładnością, wypisywaniem legitymacji i innych dowodów tożsamości funkcjonariuszom potężnego aparatu państwowego. Z kawałków brystolu i w ogóle skrawków papieru sporządzał minipaszporty, przepustki, czek, powoływał do życia strażników, urzędników, kanclerzy, generałów, wydawał dowody osobiste królom i cesarzom. Dzięki takiej pracy biura spraw osobowych „kolejno materializujące się szeregi (stawały się) węzłowymi punktami powikłanego dramatu służbowego, źródłem sił, poruszających... trony”.

Niezamordowany twórca wydawał też asygnaty na „paki rubinów, deszcze pereł, ulewę szmaragdów”. Przeżywał potem w swoim państwie, którego władze szczyty nazywał Wysokim Zamkiem, intrygi i kryminałki, a nawet „pioruny króloburcze i królotwórcze”. Wszystko na lekcjach i w pełni tajemnicy stanu, także wobec kolegów.

Łatwo można się domyśleć, jak zachłannym czytelnikiem był i jest ten pisarz. Ale

mówię o tym dokładniej „Rozmowy ze Stanisławem Lemem”, opracowane przez Stanisława Beresia (Wydawnictwo Literackie 1987). Pewna część tego dialogu została poświęcona literaturze i lekturze. O toż jako autor dzieł, z których każde wymagało rozległego przygotowania naukowego, Lem zaczął się w końcu uskarżać na niemożność przebrnięcia przez... Himalaje drukowanych na świecie książek. „Jest tutaj — stwierdza pisarz — jakaś samozagłada, bo nie trzeba już żadnych cenzur i politycznych interwencji, gdyż sztuka (chodzi o piśmiennictwo), która ukazuje się w takich ilościach, podlega nieuchronnie samozagubnej inflacji”.

A że autor formatu Lema musi i znać najważniejsze pozycje literatury, przeto domaga się on — i to bardzo stanowczo — sztabu urzędników, którzy czytali by „dla niego”, selekcjonując dzieła według ich doniosłości. W końcu podsuwaliby ci pomocnicy mistrzowi już tylko sam eks-trakt „lektury obowiązkowej”.

Z tego, co przeczytał jednak sam w ciągu dotychczasowych 16 lat życia, wybrał Lem przede wszystkim Rilkego i Manna, Tolstoja, a także autora „Idioty”. Zresztą posłuchajmy: „U Rosjan jak daleka i piękna gwiazda świeci Dostojewski, który zawsze potrafił mnie zażyć z mańki, doprowadzić do takich strasznych turbacji duchowych, których zresztą nie lubię, bo któż je lubi — że nie mogłem im się nie poddać”.

Autor „Cyberiady” jest też wyśmienitym znawcą literatury ojczystej. W swoich sądach krytycznych o niej przypomina trochę autora „Dziennika” — Witolda Gombrowicza. I tak: Kochanowski na przykład — to według Lema doskonały humorysta, Norwid jest świetnym lirycznym, ale tylko jako autor niektórych, wybranych wierszy. Poza nimi twórca ten bywa nie do zniesienia (!) Nieporównywalny talent Miłosza, podobnie jak Mickiewicza, kończy się według Lema wtedy, gdy ci twórcy zwracają się ku mistyce.

To są tylko uproszczone przykłady rozbudowanych sądów Stanisława Lema o literaturze, tych jego zapamiętań, które zapisał w „Rozmowach”. Od takich ocen, nie wiem, czy zawsze sprawiedliwych, nie mniej cenne wydają się uwagi Lema o kryterium trwałości stylów literackich. O to jedna z myśli pisarza:

„...teksty literackie są tym odporniejsze na starzenie się, im zwyczajniejsza jest ich strona językowa. Szara szata stylistyczna całkowicie wystarczy temu, kto ma coś do powiedzenia”.

Może to słuszne, może nie, ale bardzo ciekawe.



Następny numer „Głosu” ukaże się z datą

2 STYCZNIA 1988 ROKU

a w nim: relacja z plenum ZG ZNP • Rozmowa z prof. Mikołajem Kozakiewiczem o wychowaniu seksualnym • Spotkanie redakcyjne w Szydłowcu